MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 3. (2 skonfiskowany) WARSZAWA, 8 STYCZNIA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

O ROZWÓJ GOSPODARCZY POLSKI

NOWA praca prof. Rybarskiego stanowi właściwe drugą część niedawno wydanej „Przyszłości gospodarczej świata". Na tle przemian i prądów w gospodarce światowej, tak znakomicie ujętych w tamtej książce, stają dopiero w całej wyrazistości zagadnienia „przyszłości gospodarczej Polski". Prof. Rybarski, rozumiejąc zależność losów gospodarczych Polski od rozwoju stosunków ekonomicznych w świecie, wystąpił energicznie przeciwko stanowisku fatalistycznemu. Naród może świadomym wysiłkiem woli znaleźć wśród chaosu światowego własną drogę, rozstrzygnąć o swym ustroju gospodarczym, zdecydować o swym bycie.

Zadaniem pracy autora nie jest snucie zawodowych proroctw, lecz wyciągnięcie z rzeczywistości naszej, z objektywnych warunków gospodarczych i bogatych już doświadczeń wniosków, jaką ta przyszłość gospodarcza być powinna, do czego winna zmierzać polityka ekonomiczna. Z jaskrawą oczywistością wyłania się z wywodów prof. Rybarskiego prawda, że jedynie polityka narodowa, mająca za cel dobro całości, może uratować nas przed klęską. Bowiem polityka interesów poszczególnych grup, jak wykazują dotychczasowe rezultaty, musi odznaczać się jednostronnością, jednoznaczną z zupełnem krótkowidztwem. Kierowanie się dążeniami grup, co przeradza się szybko w wysługiwanie się interesom jednostek, dla doraźnych korzyści, wywołuje skutki fatalne nie tylko dla gospodarstwa narodowego, lecz i dla tych, którzy zdołali przeprowadzić swe egoistyczne postulaty. Ponieważ gospodarstwo narodowe stanowi organiczną całość, ponieważ stosunki społeczne są niezmiernie powikłane, każde rozwiązanie jakiegoś zagadnienia odbija się w sposób różnorodny na rozmaitych dziedzinach życia zbiorowego. Efektowne hasła mogą dzięki uproszczeniu zagadnienia zyskać popularność, ale ich jednostronność powoduje zawsze tyle ujemnych objawów w razie realizacji, że musi zrodzić równie silną i jednostronną reakcję. Stanowisko narodowe, ogarniające całość interesów, dbające o spotęgowanie sił narodowych w przyszłości i mające poczucie odpowiedzialności za losy narodu, nie pozwala na hazardowanie się, na efektowne hasła. Każe to stanowisko szukać rozwiązań pośrednich, biorących pod uwagę w miarę możności wszystkie czynniki, wyznaczające kierunki działania, i wszytkie jego skutki.

Książka R. Rybarskiego przeniknięta jest takiem poczuciem odpowiedzialności i dlatego zawiera wskazania umiarkowane, dalekie od wszelkiego ryzykanctwa. Autor swe rozumowania opiera na analizie rzeczywistości, komentuje fakty z dużą ostrożnością i spokojem. Wywody jego z konieczności odznaczają się zwięzłością, ale każdy rozdział książki stanowi jakby skondensowaną monografję.

Nasze położenie wskazuje drogi rozwoju. Natura dała nam zasoby najważniejszych surowców, jesteśmy pod tym względem w lepszej sytuacji, niż ogromna większość państw europejskich, jesteśmy stosunkowo słabo uzależnieni od handlu światowego, mamy dotychczas bardzo wysoki przyrost ludności, który, wobec ograniczeń emigracyjnych, musimy w kraju wyżywić i zatrudnić. Zagadnieniem przeto najistotniejszem jest kapitalizacja, zdobycie środków dla wzmożonego wytwarzania. Z tego punktu wyjścia oceniać należy przedewszystkiem naszą dotychczasową politykę ekonomiczną, która wykazuje tyle popełnianych błędów i szkodliwych wytycznych.

Nie sposób streścić wywodów autora. Zapoznać się z niemi winni wszyscy, którzy interesują się sytuacją gospodarczą Polski. Prof. Rybarski omawia kolejno bardzo słabą kapitalizację — powstrzymanie się społeczeństwa od lokowania oszczędności w papierach kredytu długotermino-

wego i w akcjach przemysłowych, nikłe stosunkowo wkłady oszczędnościowe, poszczególne pozycje ujemnego bilansu płatniczego, zwłaszcza zadłużenie zagraniczne i oprocentowanie kapitałów obcych, umieszczonych w krajowej wytwórczości, nasz handel zagraniczny i zewnętrzną polityką handlową, która musi dążyć do oprocentowania i umorzania długów zagranicznych. Znajdujemy w tym rozdziale bardzo ciekawe uwagi o pożytku rozwinięcia stosunków wymiennych z krajami wierzycielskiemi (a nie dłużniczemi), o racjonalnych granicach ochrony celnej, o stosowaniu *dumping*'u. Następnie przedstawione jest zagadnienie kredytu: kredyt uprzywilejowany oficjalny i podziemny, upaństwowienie kredytu i jego przeciwgospodarcze wyniki, niebezpieczeństwo kredytów inwestycyjnych i obcych kapitałów, krytyka wysuwanych projektów, dotyczących likwidacji nadmiernego zadłużenia. Rozdział o ciężarach publicznych udowadnia, w jakich rozmiarach gospodarstwo państwowe oddziaływa na życie gospodarcze, jak daleko posunął się etatyzm. Przesilenie nasze jest głównie wywołane zwichnięciem równowagi cen rolniczych i przemysłowych — tutaj autor zastanawia się szczególnie nad zagadnieniem karteli i skutkami dotychczasowej polityki rządu w tej dziedzinie. Dalsze rozdziały poświęcone są kwestji robotniczej i strukturze społecznej Polski oraz podstawom ustroju gospodarczego (podstawy prawne ustroju, stosunek państwa do własności prywatnej, gospodarka państwowa i jej wpływ ujemny wychowawczy na społeczeństwo, liberalizm i nacjonalizm a wolność gospodarcza). Ostatni rozdział zajmuje się wadami charakteru narodowego, występującemi w gospodarstwie i możliwościami naprawy. Powyższe wymienienie treści pracy ma na celu uprzytomnienie obfitości zasadniczych zagadnień, których omówienie czytelnik znajdzie w książce i zachęcenie w ten sposób do jej przeczytania i przemyślenia.

BOHDAN WASIUTYŃSKI

DYSKUSJA O TRAKTACIE RYSKIM

W DYSKUSJI, dotyczącej dziejów dojścia do skutku granic wschodnich Rzplitej, a wszczętej przez „Myśl Narodową“ [1]) zjawiło się ogniwo o historycznem znaczeniu. Jest niem obszerny artykuł prof. Stanisława Grabskiego [2]).

Znakomity uczestnik wielu poczynań polityki wschodniej — członek delegacji pokojowej w Rydze, będący tak wybitnym uczestnikiem ryskich rokowań terytorjalnych, że nawet jedną z uzyskanych w Rydze ziem - ziemię Dzisieńską i Wilejską— ochrzczono potocznie nazwą „korytarza Grabskiego“ — po raz pierwszy od czasu zawarcia traktatu zabiera publicznie głos na łamach prasy, by o przebiegu rokowańryskich pcinformować społeczeństwo.

Jedynem dotychczas źródłem wiadomości o przebiegu konferencji ryskiej była książka ś. p. Jana Dąbskiego: „Pokój Ryski“ (Warszawa 1931), — jest to jednak źródło, czyniące wrażenie niezupełnie bezstronnego. Tak np. całkowite pominięcie w niem milczeniem roli prof. Grabskiego w pertraktacjach terytorjalnych (na co zresztą i sam prof. Grabski zwraca w swym artykule uwagę), jest wobec notoryczności faktu, iż rola ta była wybitna, wskazówką, że na informacjach, zawartych w tej książce, nie można polegać bez zastrzeżeń. Artykuł prof. Grabskiego jest cennem uzupełnieniem książki Dąbskiego, potwierdzając szereg zawartych w niej faktów, prostując inne, a także przynosząc pewne fakty nowe.

Poza oceną ówczesnego położenia politycznego, oraz oceną uzyskanych wyników, artykuł prof. Grabskiego przynosi przedewszystkiem stwierdzenie następujących faktów:

1) Delegacja pokojowa w Rydze była formalnie związana instrukcjami, udzielonemi przez Radę Obrony Państwa delegacji, prowadzącej — w okresie szczytowych powodzeń ofensywy sowieckiej — pertraktacje pokojowe w Mińsku. Instrukcja ta jako *maximum* naszych żądań terytorjalnych wskazywała linję okopów niemieckich z r. 1916. Wobec oczywistego przestarzenia się tej instrukcji, delegacja ryska samowolnie instrukcje te przekroczyła, uzyskując linję graniczną, przesuniętą znacznie dalej na wschód, — miejscami o 100 km.

Informacja ta jest w zgodzie z danemi, zawartemi w książce Dąbskiego, w której niema wzmianki o nowej instrukcji z Warszawy, natomiast opisane są—na str. 110—dyskusje w łonie delegacji na temat postulatów terytorjalnych, jakie należałoby wysunąć, oraz głosowania (*sic!*) wewnątrz delegacji, mające na celu usunięcie różnic poglądów, istniejących w jej łonie.

Mamy tu charakterystyczną próbkę bezhołowia w polskiej polityce zagranicznej, kierowanej przez polityków, opozycyjnych wobec obozu narodowego. Chyba trudnoby wskazać drugi podobny przykład w całych dziejach powszechnych, by minister spraw zagranicznych zorganizowanego już całkowicie państwa, nie pofatygował się udzielić ścisłych i dostosowanych do aktualnej sytuacji politycznej instrukcyj delegatom na konferencję pokojową, i by delegacja pokojowa, złożona w dodatku z ludzi o djametralnie sprzecznych poglądach, musiała dopiero w ogniu rokowań samorzutnie dochodzić do uświadomienia sobie, jaki właściwie ma być kierunek jej żądań.

2) Ówczesny minister spraw zagranicznych Sapieha depeszował do Rygi, że nie przywiązuje żadnej wagi do sprawy uzyskania Dzisny i Wilejki.

---

[1]) Początkiem jej był artykuł mój p. t. „Jak to było z granicą wschodnią?“, w nr. 31 z ub. r., podpisany stale przezemnie używanym pseudonimem „Wiel.“. W dyskusji tej zabrała dotąd głos p. Zofja Kiedroniowa w nr. 37, prof. Adam Żółtowski w nr. 43 i ponownie ja w nr. 34 i 41 „Myśli Narodowej“. Pozatem zabierał w niej głos „Czas“ krakowski (dn. 17.VII.32) i „Dzień Polski“ (dn. 21.VII.32).

Z uwagi na treść niniejszego artykułu uważam za swój obowiązek nie podpisywać się nadal pseudonimem, lecz własnem nazwiskiem.

[2]) „Prawda o Traktacie Ryskim“ w „ABC“ nr. 321 z dn. 6 listopada ub. r. Artykuł ten jest odpowiedzią na list otwarty p. Florjana Swidy, ogłoszony w „Dniu Polskim“ z dn. 19.X.32, nawiązujący do artykułu p. Z. Kiedroniowej w „Myśli Narodowej“.

Informacja ta jest w stosunku do książki Dąbskiego faktem nowym,— a ilustruje w sposób równie dobitny, jak informacja poprzednia bezmyślność i brak jakiejkolwiek rozumnej linji przewodniej u czynników, za politykę zagraniczną w ówczesnym zwrotnym momencie przedewszystkiem odpowiedzialnych.

3) Granica polsko-sowiecka w Rydze nie została ustalona w drodze targów polsko-rosyjskich, lecz w drodze przyjęcia przez Rosję *en bloc* wszystkich żądań terytorjalnych, zgłoszonych przez stronę polską.

Powyższy fakt stwierdzony jest przez prof. Grabskiego słowami: „Jego też (Dąbskiego) zasługą było, że osobistą interwencją u Joffego skłonił go do przyjęcia w całości przedłożonego przez delegację polską projektu granicy“. Potwierdzają go również słowa: „przedłożyłem... plenum (delegacji) do uchwalenia projekt mniejszych z naszej strony żądań terytorjalnych“ (t. j. mniejszych, niż linja Komitetu Narodowego).

Powyższy fakt jest w zgodzie z danemi Dąbskiego. J. Dąbski przedstawia przebieg pertraktacyj terytorjalnych w sposób następujący.

Dnia 28 września 1920 r. na pierwszem posiedzeniu Komisji Głównej Konferencji, delegat sowiecki Joffe oświadczył, iż Rosja gotowa jest przyznać Polsce linję graniczną, przebiegającą od nowej granicy litewskiej przy ujściu Świsłoczy do Niemna, przez Świsłocz, Rudnię, Białowieżę, Kamieniec Litewski, Brześć Litewski, Piszczę, Lubomlę, Włodzimierz Wołyński, Hrybowice do wschodniej granicy b. Galicji, przyczem wszystkie wymienione miejscowości pozostałyby po stronie rosyjskiej (stronica 93). Dąbski w odpowiedzi zażądał czasu dla zapoznania się z propozycjami (stronica 96). W rozmowie poufnej Joffego z Dąbskim odbytej dn. 1 października 1920 r. Joffe zapytał, jakie granice uważa Polska za konieczne dla siebie, na co Dąbski odpowiedział, że odpowie na to pytanie później, zresztą w czasie już może bardzo bliskim. Joffe oświadczył wówczas, że instrukcje jego wyłączają w każdym razie odstąpienie Polsce linji kolejowej Lida—Baranowicze—Łuniniec—Równe—Brody (str. 107). W międzyczasie delegacja, w drodze wewnętrznych, narad zdecydowała się na linję, zaczynającą się od Dźwiny, obejmującą Dzisnę i Wilejkę, biegnącą na zachód od Mińska i na wschód od Łunińca, Sarn i Równego aż do Zbrucza (str. 110). Dnia 2 października 1920 r. Dąbski podał powyższe postulaty do wiadomości Joffego (str. 110). Joffe odpowiedział, że instrukcja jego zezwala na przyjęcie linji: Szczary, kanału Ogińskiego, Jasiołdy i Styru do granicy galicyjskiej. Wobec dużych różnic między obu proponowanemi linjami, skomunikuje się ze swym rządem, by postulaty polskie podać mu do wiadomości (str. 111). Dnia 4 października w rozmowie z Dąbskim Joffe stwierdził, że jakkolwiek nie otrzymał jeszcze z Moskwy definitywnej odpowiedzi, osobiście ma wrażenie, że nastąpi zgoda na odstąpienie Polsce linji kolejowej Równe — Sarny — Łuniniec z odpowiedniem zabezpieczeniem, że natomiast Rosja nie będzie się mogła zgodzić na przyznanie Polsce korytarza do Łotwy. Dąbski oświadczył, że Polska przy swoich żądaniach obstaje (str. 114—115). Dnia 5 października 1920 r. Joffe oświadczył, że Rosja żądania terytorjalne Polski przyjmuje w całości **(str. 118).**

4) Utrata Kamieńca Podolskiego i Płoskirowa była ekwiwalentem za uzyskane od bolszewików i będące wówczas w ich posiadaniu Dzisnę i Wilejkę.

Twierdzenie to należy zapewne rozumieć w ten sposób, że zasadą równego ekwiwalentu kierowała się delegacja polska, układając swój projekt linji granicznej — i że w motywacji żądania przyznania Polsce Dzisny i Wilejki wobec przedstawicieli sowieckich użyty został argument równoczesnej rezygnacji przez Polskę z Płoskirowa i Kamieńca. Nie może bowiem być mowy o tem, by ta zasada ekwiwalentu wyłoniła się w samych targach polsko-sowieckich, skoro propozycje polskie zostały przyjęte przez Rosję *en bloc.*

To twierdzenie prof. Grabskiego jest w sprzeczności z tem, co podaje Dąbski. Na str. 110 mówi Dąbski — w opisie wewnętrznych obrad delegacji— co następuje: „Co do granicy na odcinku południowym, cała Delegacja była za tem, aby nie przekraczać linji Zbrucza ze względu na układ z Petlurą i utrzymać tę samą granicę, jaka była ustalona w umowie z Ukraińską Republiką Ludową“. Dąbski twierdzi więc, że motywem zrezygnowania zgóry z zamiaru odzyskania Kamieńca i Płoskirowa nie była chęć okupienia tym kosztem ustępstw na innym odcinku (Dzisna i Wilejka),—lecz motyw całkiem inny: wzgląd na układ z Petlurą.

Że zwolennicy programu federacyjnego mogli dobrowolnie oddawać Kamieniec i Płoskirów Ukraińcom — w to nietrudno uwierzyć. W tych głowach, czyniących wrogom Polski prezenty z polskiej ziemi, roiły się jeszcze wówczas nadzieje na powodzenie akcji Petlury. Dla głów tych Kamieniec potrzebny był jako baza operacyjna do nowych prób tworzenia „samostijnej“ Ukrainy. Czynniki te dlatego oparły się przyłączeniu Kamieńca i Płoskirowa do Polski, by módz, po zawarciu zawieszenia broni, zostawić tam Petlurę, któryby próbował nowych walk z bolszewikami. Ale przecież nie cała delegacja kierowała się podobnym motywem! Opinja narodowa odniosłaby się z wielką wdzięcznością do prof. Grabskiego, gdyby, — skoro już raz w związku ze sprawą traktatu ryskiego uznał za stosowne pochwycić za pióro — zechciał list swój uzupełnić i wszystkie dotąd jeszcze niejasne punkty tej sprawy wyjaśnić do samej głębi. A w szczególności gdyby zechciał sprostować w sposób bezpośredni tę właśnie niewątpliwą nieścisłość relacji p. Dąbskiego.

Bolszewicy nie byli sukcesorami Petlury, — układ z Petlurą, to była dla nich *„res inter alios acta“.* Bez względu na taką czy inną ocenę tego układu na wewnątrz, niepodobna go wszak było na zewnątrz traktować inaczej, niż jako uzyskanie pewnych (trafnie czy błędnie ocenianych) korzyści nad Dnieprem (powstanie tam przyjaznego jakoby organizmu państwowego) za cenę rezygnacji ze szmata ziemi polskiej, potrzebnej dla zaokrąglenia terytorjum tego organizmu. Ta rezygnacja z części ziemi polskiej o tyle tylko trwała w mocy, o ile miały miejsce te korzyści nad Dnieprem. Gdy znikł kontrahent w postaci Petlury—znikł też i sam układ i zawarte w nim zrzeczenie się połaci ziemi, poprzednio objętej linją Komitetu Narodowego. Można było nie chcieć tego układu przekreślić (nie chcieli go przekreślić „federaliści“),—ale niepodobna było czuć się wobec faktu istnienia tego układu bezsilnym. To też niewątpliwie nie cała delegacja

stała na stanowisku nierozerwalności tego układu. Wynika to pośrednio z informacji prof. Grabskiego o potraktowaniu tego okręgu jako ekwiwalentu za Dzisnę i Wilejkę, nie bez znaczenia jednak byłoby potwierdzenie tego *expressis verbis*, a więc sprostowanie, i to w sposób wyczerpujący, informacji p. Dąbskiego. Tembardziej, że pewna, wymagająca wyjaśnienia niejasność tkwi, nawet niezależnie od wymienionej sprzeczności między relacjami pp. Grabskiego i Dąbskiego, w tym fakcie, iż bez względu na możliwe różnice motywów, cała delegacja była, bądź co bądź, pod tym jednym względem zgodna, że Kamieńca i Płoskirowa żądać od bolszewików nie miała zamiaru.

5) Mińska nie można było uzyskać dla Polski z uwagi na to, że nie był on zajęty przez wojska polskie.

Informacja ta jest w jeszcze większej sprzeczności z relacją p. Dąbskiego, niż informacja o sprawie Kamieńca i Płoskirowa. Dąbski pisze o sprawie Mińska dwukrotnie. Na str. 78, mówiąc o widokach realizacji programu federacyjnego, twierdzi, że jeśli chodzi o utrzymanie wpływów rosyjskich na Ukrainie, delegacja sowiecka była absolutnie nieustępliwa i raczej decydowała się na dalszą wojnę, aniżeli na jakąkolwiek rezygnację ze swego stanu posiadania. Że natomiast „ustępliwszymi byliby bolszewicy rosyjscy w sprawie oddania pod wpływy polskie Białej Rusi, ale próby postawienia tej sprawy w Rydze natrafiły na zdecydowany opór ze strony polskiej". Na str. 110 pisze Dąbski pozatem: „Co do granicy na odcinku północnym wyłoniła się (w obradach wewnętrznych delegacji polskiej) kwestja, czy Mińsk włączyć do Polski, czy nie. Zdania były podzielone ze względu na różne stanowiska w kwestji białoruskiej. W głosowaniu większość delegatów oświadczyła się za pozostawieniem Mińska poza granicami Polski".

Z informacyj powyższych wynikałoby jak na dłoni, że utrata Mińska nie jest do zawdzięczenia przeszkodom zewnętrznym, lecz przeszkodom wewnętrznym. Bo skoro można było uzyskać *désintéressement* Sowietów co do losów Mińska przy koncepcji federacyjnej, to przecież i przy koncepcji narodowej *désintéressement* to nie mogło było być niemożliwe. — Zdumienie poprostu ogarnia przy czytaniu powyższych relacyj Dąbskiego: wynikałoby z nich, że był ktoś w delegacji polskiej w Rydze, kto był wogóle odzyskaniu Mińska przez Polskę przeciwny. I że starły się ze sobą w delegacji ryskiej dwa tylko programy w sprawie Mińska: program federacyjny — i program zupełnej rezygnacji. To znaczy, że program narodowy, program linji Komitetu Narodowego (owej „linji Dmowskiego", jak ją Dąbski za Joffem na str. 105 nazywa), — nie był wogóle w Rydze reprezentowany.

Prof. Grabski pośrednio powyższym twierdzeniom Dąbskiego przeczy. Stwierdza on, że to nie wewnętrzne, lecz zewnętrzne przyczyny o utracie Mińska zadecydowały. Przypomina pozatem, w innem miejscu swego listu, że już w roku 1918 zadeklarował się jako zwolennik programu terytorjalnego Komitetu Narodowego i bojownik o wcielenie programu tego w życie, — przez co stwierdza pośrednio, że nie mógł być jego przeciwnikiem w roku 1920. Powyższy jednak, powściągliwy i kurtuazyjny sposób sprostowania twierdzeń p. Dąbskiego, — twierdzeń, które, skoro są niesłuszne, prof. Grabski mógłby nazwać mianem ostrzejszem, — wydaje nam się nie dość wyczerpującym, by postawić wszystkie kropki nad „i" i urwać raz na zawsze łeb wszystkim plotkom i legendom, szerzonym o pertraktacjach ryskich przez rozmaite odcienie „sanacji". Bo wszak nie jest tajemnicą, że konserwatyści kresowi i cała „sanacja" twierdzą, iż to właśnie prof. Grabski był w Rydze zwolennikiem największej powściągliwości w żądaniach i najdalej posuniętych rezygnacyj.

Czy był wogóle w delegacji ryskiej ktoś, kto sprzeciwiał się — jak wynika z twierdzeń Dąbskiego — odzyskaniu Mińska przez Polskę? Jeśli tak — to kto to był? Czy istotnie tylko pogląd na „kwestję białoruską", a nie ocena stopnia ustępliwości przeciwnika, podzielił głosy w delegacji ryskiej w sprawie Mińska? Dla przyszłych badań historycznych byłoby rzeczą wielkiej wagi, gdyby prof. Grabski zechciał również i te kwestje autorytatywnie wyjaśnić i twierdzenia ś. p. Dąbskiego sprostować.

Tyle o faktach historycznych. — Poza prostowaniem faktów, list prof. Grabskiego zawiera jednak jeszcze szereg uwag natury ogólnej, dotyczących oceny ówczesnego położenia politycznego i ówczesnych możliwości dla Polski.

Punktem centralnym tych rozważań jest sprawa, czy mogliśmy w pertraktacjach ryskich uzyskać więcej, czy też nie. Prof. Grabski twierdzi stanowczo — że nie. Na poparcie tego zdania prof. Grabski przytacza właściwie tylko jeden argument, ten mianowicie, iż zwycięscy w różnych wojnach anektują z reguły znacznie mniej, niż zdołali zbrojnie zająć. Prof. Grabski na dowód przytacza tu przykład z wojny francusko-pruskiej z roku 1871 i wojen Napoleońskich.

I tutaj — nie można oprzeć się niepokojącemu uczuciu, że prof. Grabski nie ma racji. Było niewątpliwie wiele wojen, zakończonych tak, jak wojna z roku 1870/71, Ale były nie mniej niewątpliwie również i wojny, zakończone inaczej. Przecież Pomorze w roku 1918 i 1919 nie było zbrojnie zajęte przez wojska koalicyjne — nie było im nawet oddane w rozejmie, — a jednak po podpisaniu i ratyfikacji traktatu pokojowego, Niemcy je Polsce zwróciły. A nie była to dzielnica niewiele dla Niemiec znacząca.

Wojna z r. 1870/71 — to była wojna, mająca na celu pokonanie przeciwnika. Wojska pruskie zapuściły się wgłąb Francji, aby Francję całkowicie ubezwładnić. Prusy nie anektowały obszarów okupowanych, — ale bo też nie miały w tym kierunku żadnej ambicji: ich rzeczywiste aspiracje zaborcze zostały wówczas urzeczywistnione, poza nieistotnemi szczegółami, naogół w całości.

Nasza wojna kresowa — to nie była wojna o pokonanie przeciwnika, lecz wojna o rozgraniczenie. Czyż istotnie można ją z wojną francusko-pruską porównywać?

Czy istotnie taktyka delegacji polskiej w Rydze, polegająca na ograniczeniu zgóry żądań do możliwego *minimum* i walczenia wyłącznie o to *minimum* — była szczęśliwa? Czy nie było rzeczą możliwą osiągnąć linję Komitetu Narodowego, z której osiągnięcia zrezygnowano zgóry, — a przynajmniej bardziej się do tej linji zbliżyć? Skoro można było — na przestrzeni 7 dni rokowań — uzyskać przesunięcie kresu ustępliwości sowieckiej od linji, zostawiającej Białowieżę i Brześć nad Bugiem po stronie rosyjskiej, do linji, niemal pokrywającej się z granicą dzisiejszą — to trudno oprzeć się niepokojącemu przypuszczeniu, że ustępstwa sowieckie

mogły były pójść i dalej. Tembardziej, że w kilka miesięcy później udało się uzyskać poważne korektury granicy na Polesiu i w Mińszczyźnie, przekraczające na naszą korzyść dość znacznie linję, żądaną poprzednio przez delegację polską. Czy rachuba na nieustępliwość sowiecką w sprawie Mińska, a także Kamieńca Podolskiego, była trafna? Czy nieustępliwości tej nie przeceniono? Czy nie było błędu w ocenie położenia? Obyż nie było! Lepiej jest, gdy ponosi się straty z powodu siły przeciwnika, niż z powodu własnych błędów.

Ale gdyby nawet to niepokojące przypuszczenie o błędzie w rachubach było słuszne — lepiej jest o tym błędzie mówić, aniżeli go przemilczać. Prof. Grabski ma w sprawie rokowań ryskich tak wielkie zasługi — że nawet gdyby popełnił w nich ten czy inny błąd, to się jego zasług nie osłabi. Położenie prof. Grabskiego w Rydze było wręcz tragicznie trudne: musiał walczyć na dwa fronty, — nietylko z przeciwnikiem rosyjskim, lecz z Obozem Małej Polski (federalistów, chcących Polskę rozparcelować na rzecz różnych Litw, Łotw, Ukrain i Białychrusi) w łonie samej polskiej delegacji. Jeżeli w tych warunkach zdołał osiągnąć granicę, sięgającą od Dźwiny aż po Dniestr, — zdołał przełamać opór federalistów i opór sowiecki, wcielić integralnie do Polski Dzisnę, Wilejkę, Nowogródek, Pińsk, Ostróg, Krzemieniec, przygotować wcielenie Wilna, — to jest to tyle tytułów zasługi, że obok nich zblednie i ewentualny błąd.

SKONFISKOWANO

Ale i błędy, jeśli wogóle były błędy, również wyjaśnienia wymagają. Wielce Szanowny Pan Profesor Grabski wybaczy autorowi niniejszego artykułu, że pozwolił sobie z tym artykułem wystąpić. Uzna bowiem niewątpliwie, że autorem tego artykułu nie powodował zamiar uprawiania krytyki destrukcyjnej i bezpłodnej, lecz powodował ból — i chęć dowiedzenia się zupełnej prawdy: czy istotnie Mińska i Kamieńca nie można było w Rydze odzyskać?

JĘDRZEJ GIERTYCH

MIRAŻE MANDŻURSKIE

ŚWIAT z niepokojem spogląda na Daleki Wschód, gdzie od roku trwa burza, zrazu lokalna: mandżurska, a następnie organiająca całe Chiny, wstrząsająca całym Wschodem i mogąca powikłania nad Pacyfikiem rozognić do groźnego konfliktu. Zaczęło się w Mandżurji. W kraju, dokąd (aż do września 1931 r.) nie docierała szalejąca nieustannie w Chinach wojna domowa. Geneza i przebieg zajść dziś przedstawiają się zupełnie jasno: Japończykom za ciasno jest na pięknych wyspach: na Nipponie i innych. Muszą mocną nogą stanąć na lądzie stałym. Korea okazała się niewystarczająca dla tego celu; postanowiono więc zużytkować Mandżurję.

Nie od dziś i nie od wczoraj mają Japończycy zwrócone oko na Mandżurję. Wszystko, co się tam działo i jeszcze będzie dziać, wszystko, co nam może się wydawać gwałtownym wybuchem, przypadkiem, jakich moc znajdziemy w dziejach ludzkości — zostało już dawno obmyślone na zimno w ciszy gabinetów i opracowane do najdrobniejszych szczegółów.

Powstaje nowe niepodległe państwo: republika Manczu. Wszyscy wiemy, że ta niezawisła rzeczpospolita — to forma przejściowa jedynie. Co dawniej było integralną częścią rządzonej przez dynastję mandżurską monarchji, a potem republiki chińskiej, jutro będzie kolonją japońską. Dziś jednak jest to jeszcze coś, co na arenie polityki światowej odgrywa tę samą rolę, która przypadała przed laty na terenie polityki europejskiej tak zwanemu „kotłowi bałkańskiemu“. Nie jest wcale rzeczą wykluczoną, że to, co napisane jest w księdze przeznaczeń globu ziemskiego, do czego pcha nieuchronna logika dziejów: przeobrażenie oblicza świata — weźmie swój początek stamtąd.

Temu to „kotłowi bałkańskiemu“ naszych dni — Mandżurji, książkę swą p. t. „Miraże Mandżurskie“ poświęca Polak, najlepiej znający Chiny, p. Konstanty Symonolewicz, niegdyś urzędnik dyplomatyczny w służbie rosyjskiej, po odzyskaniu zaś niepodległości długoletni delegat Rządu Polskiego na Chiny i generalny konsul R. P. w Charbinie.[1])

Książka Symonolewicza jest pewnego rodzaju rewelacją, jako pierwsza próba przedstawienia całokształtu stosunków mandżurskich w języku polskim. Co więcej, jest to książka aktualna, jak rzadko która; zjawia się w sam czas. Ze zdziwieniem stwierdzamy, że prasa, w szczególności prasa literacko-naukowa niemal zupełnie nie zwróciła uwagi na tę książkę, tak potrzebną dzisiaj, i przez niejednego, niewątpliwie, poszukiwaną. Napisane w przededniu wybuchu konfliktu chińsko-japońskiego, „Miraże mandżurskie“ doskonale zaznajamiają nas z terenem, gdzie się ten dramat dziejowy rozgrywa.

Pod względem formy książka jest zbiorem fejletonów luźnych, z których każdy stanowi całość, zamkniętą w sobie. Właśnie ta luźność jest może pewnym brakiem kompozycyjnym, przeszkadzającym w ogarnianiu przez czytelnika życia mandżurskiego, jako pewnego całokształtu — pewnego organizmu polityczno-społeczno-kulturalnego. Zato każdy z fejletonów, sam w sobie — to istne cacko, nietylko jako rzeczywista kopalni arcyciekawej treści, będącej dla większości z nas kompletną *„terra ignota“* — ale też i dzięki formie, w której tę treść podano. Skrzywdzilibyśmy też jednak autora, gdyby czytelnik niniejszego artykułu wyniósł wrażenie, że całość pod względem kompozycyjnym stanowi niezorganizowany chaos. Przeciwnie, Symonolewicz starał się swej książce dać pewną, celowo przemyślaną konstrukcję: fejletony, dotyczące kolonizacji dziewiczego jeszcze niemal kraju mandżur-

---

[1]) Konstanty Symonolewicz: „Miraże Mandżurskie“. Skład główny, Gebethner i Wolff. Warszawa, 1932, str. 291 i 5 nl.

skiego, historji, dziejów literatury mandżurskiej, życia chińskiego w Mandżurji, charakterystyki wybitnych działaczy, obyczaje i formy towarzyskie — wszystko to zebrał w jedną całość, stanowiącą pierwszą część książki. Na drugą składa się opis i historja rozwoju tak głośnej w r. 1929 i dzisiaj kolei wschodnio-chińskiej, panorama i dzieje Charbina, życie cudzoziemców w Mandżurji, w szczególności Polaków.

Symonolewicz, który miał wybitne przygotowanie teoretyczne (uczęszczał na studja orjentalistyczne w Petersburgu), a w dodatku korzystał z szeregu przywilejów, w jakie traktaty zaopatrują przedstawicieli dyplomatycznych i konsularnych, mógł dotrzeć tam, gdzie nie byłoby miejsca dla kogo innego, i poznać i zrozumieć wiele rzeczy, niedostępnych dla ludzi posiadających fachowego przygotowania.

W młodości tęsknił za dziwnemi, nieznanemi krajami Dalekiego Wschodu. Przy zetknięciu się z rzeczywistością nastąpiło konieczne w takich wypadkach rozczarowanie. Im jednak bardziej przyzwyczajał się do kraju, gdzie go rzuciły i losy, i młodzieńcze marzenia — tem więcej znajdował w nim rzeczy, godnych uwagi, a nawet i podziwu. Europejczycy, którzy choćby i przez długi czas mieszkali w Chinach, ale którzy nie posiadali odpowiedniego przygotowania i wszystkie zjawiska rozumieli i oceniali bardzo powierzchownie, wywożą często wrażenia i wspomnienia zdecydowanie ujemne; z książki Symonolewicza, obok nierzadkich słów surowej krytyki, tchnie przecież atmosfera sympatji, a nawet i przywiązania dla niesamowitej kultury synów Państwa Środka.

Konstanty Symonolewicz spogląda na to, co się dokoła niego dzieje, okiem inteligentnego, wszystko rozumiejącego, ale nieprzejmującego się niczem, obojętnego na wynik widza. Stąd objektywizm i spokój: dwie cechy charakterystyczne dla jego książki; brak wszelkiego podniecania się, wszelkiego roznamiętnienia w trakcie omawiania szeregu czy to zagadnień, czy faktów i obrazów, tchnących namiętnością, grozą lub groteską. Autor opowiada o rzeczach najokropniejszych lub najbardziej groteskowych i nowych dla nas zupełnie, z pogodnym, chwilami pobłażliwym, chwilami potakującym — uśmiechem spokojnego filozofa, który te wszystkie dziwaczne, a okropne lub śmieszne rzeczy wschodnie: objawy psychiki i kultury chińskiej zgłębił gruntownie, zrozumiał należycie i nie dziwi się niczemu. Charbiński Polak, w długoletniem obcowaniu z kulturą chińską, nabrał istotnie pewnych cech filozofa chińskiego, przesadnie nawet zobojętniałego na to, co wokoło się dzieje.

Autor zaznajamia nas z olbrzymim terenem mandżurskim, który — według niego — ma przed sobą piękną przyszłość. Opowiada o ludności tubylczej, o resztkach pierwotne niemal życie pędzących plemion mandżurskich, niegdyś tak potężnych i szerzących strach wśród sąsiadów. Poznajemy i właściwego gospodarza kraju: kolonizatora chińskiego. Podziwiamy jego pracowitość i wytrwałość, przywiązanie do tradycji i umiejętność przystosowania się do nowych warunków. Według Symonolewicza, żadna siła nie potrafi powstrzymać pędu kolonizacyjnego Chińczyków do Mandżurji. Interesującą jest rzeczą, jakby autor ustosunkował się do zagadnienia tej kolonizacji, gdyby swą książkę pisał dziś, po konflikcie mandżurskim z Japonją?...

Następuje krótki zarys dziejów języka mandżurskiego i przegląd ubogiego dosyć piśmiennictwa. Rozdział IV książki p. t. *„Plusquamperfactum“* to arcydzieło, a co najważniejsza — przemilczana niemal zupełnie w najpoważniejszych nawet podręcznikach dziejów — historja Mandżurji, narodów, niegdyś ją zamieszkujących i ich walk z Chinami. Dalej dowiemy się o genezie i istocie bandytyzmu chińskiego, odgrywającego taką dużą rolę nawet w życiu politycznem Dalekiego Wschodu. Jak wiele cennych i ciekawych wiadomości zawiera ta książka — niech za przykład posłuży fakt, że można pół życia spędzić na Dalekim Wschodzie, codziennie się stykać z rozpowszechniającym się zresztą i w Europie słowem „chunchuz“, a dopiero z „Miraży mandżurskich“ dowiedzieć się, że wyraz ów oznacza „Czerwona broda“, co pochodzi stąd, że protoplaści ruchu chunchuskiego, partyzanci, walczący na początku I-szego wieku naszej ery w obronie praw zdetronizowanej, prawowitej dynastji Chań, przeciw uzurpatorowi Wanowi, malowali, celem nadania sobie groźniejszego wyglądu, brwi, wąsy i brody na czerwono.

Oprowadzając nas po charbińskich świątyniach trzech panujących w Chinach kultów: daoskiego, buddyjskiego i konfucjańskiego, opowiada Symonolewicz o życiu religijnem Państwa Obfitego Kłosa i Mandżurji. Zwraca uwagę na zasadniczą różnicę między poglądami naszemi na te tak ważne zagadnienia, a chińskiemi. Dla nich wszystko zawiera się w formalistyce, obracającej się — bez względu na przynależność do jakiegokolwiek kultu — dookoła czci przodków. Stąd pogrzeb nosi charakter najwybitniejszej ceremonji religijnej. Subtelności metafizyczne i dogmatyczne, wszelkie dociekania prawd ukrytych i tęsknoty mistyczne dla nich nie istnieją. Niezwykle ważną i godną specjalnego zanotowania rzeczą jest obalanie przez autora „Miraży mandżurskich“ tak — zdawałoby się — niewzruszonego u nas autorytetu chińskiej grzeczności. Bardzo interesujące też są uwagi o sztuce, teatrze i kalendarzu chińskim.

W powieści Claude Farrére'a *„La bataille“* stary mędrzec chiński przestrzega francuskiego malarza przed zagłębianiem się w studjum duszy ludzi Dalekiego Wschodu. Według niego, to stracony czas i próżny trud, gdyż Europejczyk nigdy nie przeniknie tajemnicy, jaka otacza psychikę Azjaty. Otóż — na podstawie lektury „Miraży“ — odnosi się wrażenie, że przecież Europejczyk, w danym wypadku Symonolewicz mógł jednakże zbliżyć się do tej tajemnicy. Trzy postaci swych znajomych — Chińczyków, jakie kreśli: urzędnika, który życie poświęcił walce z narodowemi plagami, a mianowicie korrupcją, niechlujną administracją i samowolą wojskową; starego generała U, byłego chunchuza, tygrysa Mandżurji, wiernego towarzysza marszałka Czan-Tso-Lina, i wreszcie filozofa, który za życia wzniósł sobie grobowiec i spokojnie czekał śmierci — to trzy wspaniałe studja psychologiczne i etnograficzne zarazem, świadczące o głębokiem i subtelnem znawstwie duszy azjatyckiej.

Symonolewicz, choć nie tai swojej sympatji do Chińczyków, nie otacza ich specjalnym szacunkiem. Cień jednak tego szacunku można spostrzec, gdy opowiada o Chińczykach starej daty; młodzi, t. zw. postępowi budzą w nim niesmak i antypatję. Porzucając tradycje ojców, o cywilizację europejską ledwie się ocierają i stają się nieciekawymi ludźmi

bez oblicza. Niczem rzymski Petronjusz, który gustował w ostrygach, językach słowiczych i pasztecikach z ptasich móżdżków, przepada p. Symonolewicz za skrzelami rekina, zupą z jaskółczych gniazd i trepangami. Omówiwszy dobra duchowe, w jakie obfituje kultura chińska, w rozdziale *„Epulae“* składa autor hołd dobrom materjalnym: kuchni chińskiej, której jest szczerym entuzjastą. Szeroko rozpisuje się o obiadach chińskich, składających się z kilkudziesięciu dań; zaznacza też, że Europejczyk, po skonsumowaniu taktego obiadu, czuje się, jak boa po połknięciu koca.

Ciekawą jest rzeczą, że większość Europejczyków, którzy choćby i przez dłuższy czas — ale nie stykając się bliżej z autochtonami i ich kulturą — przebywali na terytorjum Chin, czuje wstręt do kuchni chińskiej; niejeden z nich, czytając entuzjastyczne sprawozdanie Symonolewicza z takiego obiadu, pożałuje, że z taką pogardliwą miną mijał szybko restauracje chińskie, uciekając od rozchodzącego się stamtąd zapachu.

Imponująco się przedstawia praca, którą podjęła Rosja nad uruchomieniem kolei wschodniochińskiej i ucywilizowaniem kraju. Duży rozdział „Wczoraj i dziś“ — to istna epopeja szerzenia cywilizacji europejskiej w pierwotnym kraju o surowym klimacie, epopeja dla nas tem ciekawsza, że liczni czołowi jej bohaterowie byli Polakami. Poznajemy arcyciekawe, jakby z pod ziemi w ciągu lat trzydziestu wyrosłe, kilkusettysięczne miasto, Charbin; dowiadujemy się też, w jakich specjalnych, nigdzie indziej w świecie niepraktykowanych warunkach żyją i dorabiają się kapitałów w Chinach cudzoziemcy, mający szczęście być obywatelami mocarstw, korzystających z prawa eksterytorjalności — jak również i o tem, jak to Chińczycy odbijają sobie wszystkie szykany obcokrajowców pierwszej kategorji na cudzoziemcach drugiej kategorji, to jest tych, którzy praw eksterytorjalności nie posiadają.

Najciekawszy jednak jest rozdział „Ci, którzy od wschodu“. Symonolewicz, który w ciągu dwudziestu lat pobytu na Dalekim Wschodzie, tylko raz, niedawno i to na krótko był w Japonji — zachwycony jest i krajem, i jego mieszkańcami. W tym rozdziale wychodzi ze zwykłej sobie równowagi, z petronjuszowego, rozleniwionego, uśmiechniętego spokoju i daje wyraz swym uczuciom podziwu dla patrjotyzmu, żelaznej woli, organizacji i karności Japończyków i ich skłonności do poświęceń. Zna dobrze całą grę japońską o Mandżurję: powiada, że naród, który tak konsekwentnie dąży do zrealizowania swych celów, zwyciężyć musi. Czyżby te słowa były *Mane, Tekel, Fares* dla chińskiej przyszłości w Mandżurji?... O tem pewno niebawem przekonamy się sami. Przed nami, przed naszemi oczyma rozgrywa się dramat. Książka Symonolewicza przygotowuje widza doskonale do zrozumienia akcji tego dramatu dziejowego.

Lwów TEODOR PARNICKI

DWA BIEGUNY WSPÓŁCZESNOŚCI

(Dokończenie)

IV

OTO WIĘC jest jeden biegun współczesności. Stanowią go ludzie niecierpliwi, pewni siebie, tem pewniejsi, im mniej posiadają poczucia rzeczywistości, ufni w mechaniczne metody przerabiania świata i dostosowywania go do własnych potrzeb, zapatrzeni w swoje „ja“ i nieuznający wolności przekonań, natomiast pragnący brutalnością swych metod narzucić innym własne pojęcie o szczęśliwości powszechnej. Tego typu woluntaryści są absolutnie pozbawieni skrupułów religijnych, a co za tem idzie — także i moralnych.

Acz każdy kraj ma poddostatkiem tych nowoczesnych konkwistadorów, a gdzieniegdzie doszli oni nawet, ku hańbie swych nieszczęsnych społeczeństw, do głosu decydującego, jednak najkonsekwentniej sztandar absolutnego indeterminizmu został rozwinięty w Rosji. Konsekwencja tkwi jednak nie tyle w sferze pojęciowej, ile — w myśl całego niniejszego artykułu — w bezwzględnej dysautomatyzacji kulturalnej, religijnej, obyczajowej, społecznej i politycznej, oraz w przeświadczeniu o niczem nieograniczonej mocy człowieka - twórcy. Bolszewicy — o dziwo! — osiągają nawet na drodze mechanicznej pewne rezultaty pozytywne, co się tłumaczy w pierwszym rzędzie naturą terenu doświadczalnego, charakterem narodu rosyjskiego, przywykłego od wieków do przystosowywania się do zewnętrznej przemocy i niezdolnego do wydobycia od wewnątrz swej narodowej *raison d'être*. Pochodzi to oczywiście przedewszystkiem ze słabości religijnej społeczeństwa, wychowanego w cezaropapizmie i nieznającego wolności sumienia, które się też znalazło bez sankcji i probierza prawdy z chwilą upadku samodierżawja.

Powtóre zaś bezwzględny (tymczasem!) triumf bolszewizmu tłumaczy się szczególnem nastawieniem psychiki rosyjskiej inteligencji, która cała, ze znikomym wyjątkiem kilkunastu ingenjów przez całe stulecie (Czaadajew, Granowskij, Turgeniewowie Iwan i Mikołaj, Loris Melikow, Petrunkiewicz, Włodzimierz Sołowjew i in.), dzieliła się na tamte dwa skrajne obozy, o których była mowa, zaś nie stworzyła w swem łonie tego trzeciego elementu, tych również woluntarystów, ale zupełnie innego pokroju, niż tamci rewolucjoniści, hołdujący doktrynie absolutnego indeterminizmu.

Ten nowy typ ma zgoła odmienne pojęcia o prawdziwej oryginalności. Nie jest ona, wedle niego, zupełną dysautomatyzacją. Bynajmniej. Przyjmuje on genjalną definicję Norwida: „Oryginalność — to dodatnia sumienność w obliczu źródeł“. W ten sposób wszelka twórczość upodobnia się do twórczości naukowej, której dwa konieczne warunki, to poznanie i kontynuowanie doświadczeń poprzedników.

Więc twórca dzisiejszy, człowiek naprawdę postępowy, pamięta o potrzebie ciągłości dziejowej i czuje się rzetelnym następcą i spadkobiercą tych, co byli przed nim. Pełni on testament Mickiewicza, który tak nauczał:

„Trzeba postawić się na miejscu człowieka wiecznego: trzeba uczuć się członkiem swego Kościoła, synem swego narodu, potomkiem odpowiedzialnym za wszystkich swoich przodków w rodzinie duchowej i doczesnej, trzeba być dziedzicem wszystkich przymiotów, które naddziadowie nasi nabyli w pocie czoła i ofiarach krwawych; trzeba całą przeszłość religijną i polityczną ścisnąć w jedno ognisko, zamienić w jedną płonącą gwiazdę, i ogień ten utrzymywać na ołtarzu swego ducha, aby cokolwiek było w historji świętego, prawdziwego i wielkiego, znalazło się w nas jako ziarno siewne, jako żywotność, jako siła".

(Prelekcje, 30.IV.1844).

Śmiało można powiedzieć, że późniejsze życie naszego narodu tem było pełniejsze i lepsze, im bliżej się trzymało tego testamentu, którego kwintesencję tak powtarza dziś Roman Dmowski w swej rozprawie o „Zagadnieniu rządu":

„Posiadamy pewne wielkie wartości, które przydałyby się narodom, przodującym w naszej cywilizacji i uratowały je od wielkich niebezpieczeństw. Te wartości — to religja i poczucie narodowe, przywiązanie do ojczyzny, mające w sobie pierwiastek religijny, każący patrzeć na nią nietylko jako na materjalne, ale także, i to przedewszystkiem, jako na moralne dobro".

Z tego stanowiska spoglądając, woluntarysta współczesny, typu nie rewolucyjnego, lecz twórczego, zgoła inaczej niż tamten posługuje się swą wolą. Jest on wyznawcą indeterminizmu względnego, gdyż wie dobrze, że wola jego jest ograniczona przedewszystkiem przez wolę Boga, wpisującego tak w żywot wszechświata, jako też ludzkości i narodów swoje prawa; powtóre — przez wolę innych ludzi, jako jednostek i jako zbiorowości; potrzecie — przez konsekwencje, płynące z poprzednich aktów jego własnej woli, z przysiąg, przyrzeczeń i zobowiązań. Z tych trzech czynników, krępujących wolę człowieka, a których oddziaływaniu on się świadomie poddaje, największą rolę oczywiście gra wola Boża. Najważniejsza prośba, którą zanosimy codzień do Boga: Bądź wola Twoja,— ma treść niewyczerpaną i obowiązującą. Ona dopiero jest gwarancją wolności człowieka, gdyż jak mówi Św. Paweł: „Wolność jest tam, gdzie duch Pański czuwa" (II Kor. III, 17), zaś wolność słusznie uważa Cieszkowski za „najwyższy z atrybutów ducha, nawet za jedynie istotny, absolutny jego predykat, jego znaczenie i przeznaczenie", to też słusznie twierdzi, że dopiero „dziś przychodzi kolej na wolę, dziś wola panowanie swe otwiera". By się jednak w pełni rozwinąć, wola człowieka winna się zawsze do Bożej stosować i z nią się zgadzać najściślej. Wolą zaś Bożą jest dobro wszechświata, szczęście powszechne. Oznacza to praktycznie, że człowiek prawdziwie twórczy w każdym swym czynie zastanawia się nad jego religijną i moralną wartością, ta zaś jest określona przez objektywne Prawo Boże. W ten sposób człowiek przestaje być pionkiem, zabłąkanym we wszechświecie, staje się współpracownikiem Bożym w wielkiem dziele wiecznego i doczesnego zbawienia świata, oraz towarzyszem i bratem olbrzymich zastępów, objętych przez Kościół, wreszcie wolnym twórcą własnego losu, wyrwanego z pęt przypadku i kierowanego czujną myślą, zgodną z zamiarami Opatrzności.

Obok silnego obwarowania przez religję, wola człowieka-twórcy jest poddana równie świadomie prawom tego „wielkiego zbiorowego obowiązku, który tu Ojczyzną nazywamy" (Norwid).

Teoretyczne uzasadnienie i praktyczne ugruntowanie tego swoistego patrjotyzmu, nieznanego przed wiekiem XIX, bo skierowanego nie do materjalnego tworu: państwa, lecz do całości organicznej i duchowej—do narodu, nazywamy najczęściej nacjonalizmem, acz nazwa ta wywołuje pewne nieporozumienia. Jednak w swej istocie nacjonalizm, ta największa zdobycz w. XIX, przez silne stwierdzenie wolności i duchowości, jest penetracją religji do stosunków społecznych i w pierwszej linji owocem oddziaływania Kościoła Katolickiego. Przejawiając się w różnych narodach różnie, najwyższe i najczystsze formy przybiera on właśnie w Polsce, co się da łatwo wytłumaczyć tak całokształtem dziejów naszych, jako też narodowym charakterem.

Wedle Mickiewicza „narodowość—to największe dzieło Boże na ziemi". Prawdziwie oryginalny twórca winien być oparty o tradycję narodową, winien wyczytywać z charakteru narodowego istotę jego potrzeb, jego pragnień i tęsknot, gdyż jak powiada Brzozowski, „Pan Bóg myśli narodami; narody są jedynemi organami dziejowego działania psychiki; ...narody to są zbiorniki gotowej już dziejowej siły". Jednostki pojedyńcze o tyle tylko są wielkie i twórcze, o ile potrafią wyczytać istotę i kierunek tej siły i dać jej wyraz w swem życiu i czynie swoim.

* * *

Oto więc są dwa wizerunki ludzi współczesnych. Łączy ich, jak widzimy, nie jakaś teorja, lecz tylko silne natężenie woli i pragnienie większe niż kiedy, pokierowania losem swych społeczeństw zgodnie z jej postulatami. Różni zaś tych ludzi między sobą odmienny stosunek do świata otaczającego: jeden śmiało stawia samego siebie w samem jego centrum i realizację swej własnej woli uważa za cel sam w sobie i za swe najwyższe prawo. Drugi zaś, twórca we właściwem znaczeniu, wychodząc z objektywnej analizy rzeczywistości, co go otacza, czuje się, jak ziemia w oczach Kopernika, cząstką wielkiego wszechświata, którego ogniskiem centralnem, jego dźwignią i głównym motorem jest Bóg. Człowiek ten jednocześnie uświadamia sobie swą ścisłą, fizyczną i duchową łączność ze środowiskiem społecznem, którem jest naród, i istotę swej oryginalnej twórczości sprzęga też ściśle, przez czynną miłość, z prawem Bożem i ludzkiem.

I jeszcze jedno. Wola, pozostawiona sama sobie, wpada w pychę i jednostronność, zaś ustanowiwszy swój prymat w sferze doznań psychicznych, spycha rozum do roli narzędzia i swego ślepego pomocnika. A cóż wart ślepy doradca? Tymczasem wola, ustawicznie konfrontowana z wolą Bożą, skłonna jest z istoty rzeczy do autokrytycyzmu oraz do rehabilitacji całości życia duchowego, rozumu, uczuć, wyobraźni, wreszcie do ustanowienia rzetelnej śród nich hierarchji, przez co staje się niemożliwe dekadenckie przeciwstawianie sobie czynu i myśli.

W jednym wypadku jest samoomamienie i puszczanie swej siły na wiatr, w drugim — świadoma i opanowana, „prawdziwa moc ruszania światem przez Bożą siłę i przez Bożą sprawę".

STANISŁAW CYWIŃSKI

NA WIDOWNI

W noc noworoczną o tragiczności dziejów. — Dziennikarz jako strażnik na wieży. — Wspomnienie o wieku XIX. — Cenzura symbolem niewoli. — Król Duch i Massyuisa.

DZIENNIKARZ miewa w swej działalności chwile dramatyczne, zwłaszcza... nieprzyzwyczajony. Do takich chwil zaliczam w swojem życiu noc z 1900 na 1901 r., kiedy się przełamywało stulecie. Wraca mi ten epizod na myśl w każdą noc Sylwestrową, aż wreszcie teraz postanowiłem go opowiedzieć. Jest w tem zdarzeniu moment nieosobisty; rzuca ono światło na obyczaje i stosunki wieku ubiegłego, tak niedawne, a jednak ukryte już od młodszego pokolenia potężną górą zdarzeń.

Dwa lata pracowałem w redakcji „Kurjera Warszawskiego": 1900 i 1901, właściwie do marca 1902, kiedy wyjechałem do Lwowa na stanowisko redaktora „Słowa Polskiego". Praktyka w dużym dzienniku wielce mi była potem przydatna. Pierwszy rok pełniłem w „Kurjerze" obowiązki sekretarza redakcji, których po roku się zrzekłem.

Były to czasy naprężonych stosunków z cenzurą. Poprzedni redaktor, Franciszek Nowodworski, skazany był administracyjnie na zesłanie do Rosji (przebywał wtedy w Odessie). Niemałe były trudności z wyborem nowego redaktora i uzyskaniem na niego aprobaty władz. Został nim Władysław Korotyński. Dodam dla wyjaśnienia, że przyczyną represji, zastosowanej do „Kurjera", stał się słynny memorjał ówczesnego generał-gubernatora ks. Imeretyńskiego. Franciszek Nowodworski znalazł się pod zarzutem, że zdobył odpis tego tajnego dokumentu i gdzieś na zebraniu towarzyskiem czytał z niego wyjątki, czy też streszczał z pamięci.

— — — — — — — — — — — —

Podziałki czasu na lata i stulecia są rzeczą formalną wobec treści życia, które spływa w morze wieczności, a jednak w drugiej połowie 1900 r. myślało się wiele o tem, że kończy się stulecie i robiło to pewną sensację. Zwłaszcza dziennikarz, nałożony do liczenia czasu, jak zegar, nawet pilniejszy od niego, bo zegar czasu nie pogania, czekał końca wieku, jak awantury. Już w lecie dałem projekt poświęcenia numeru noworocznego poglądowi retrospektywnemu na wiek ubiegły i wykonanie wziąłem na siebie. Oczywiście nie było mowy o spieraniu się z cenzurą o pogląd na stosunki polityczne w tym okresie, ograniczyliśmy się tedy do terenu nauki, literatury i sztuki.

Zaproponowałem formę ankiety. Wówczas nie były jeszcze w zwyczaju plebiscyty; postanowiliśmy zwrócić się do elity. W tym celu wystosowało się do kilkuset osób, pracujących umysłowo w sposób twórczy, piękny list z zapytaniem, które dzieła poczytują w w. XIX za najlepsze. Do listu dołączone były arkusze zwrotne z odpowiednim schematem, w którym cały obszar twórczości podzielony był na kilkanaście działów. Zdawałem sobie sprawę, że nie będzie to w wyniku sąd objektywnie miarodajny, ale że zdobycie dokumentu, jak ludzie ze schyłkiem wieku widzą szczyty przez twórczość osiągnięte, — warte jest pewnego wysiłku.

Ankieta zrobiła dobre wrażenie; była w każdym razie nowością; w w. XIX była to bezspornie pierwsza ankieta tego typu. W terminie jej zamknięcia, w koncu października, miałem w tece około 300 odpowiedzi. Opracowanie tego materjału i ułożenie sprawozdania z charakterystyką dzieł i twórców wymagało niemałej pracy, ale wykonałem ją z upodobaniem. Podczas tej pracy sam się uczyłem, zaznajamiając się z dziełami i biografjami. W grudniu miałem wrażenie, że cały świat zajmuje się wiekiem ubiegłym, jako czemś bliskiem, co schodzi ze świata, z tajemnem drżeniem na myśl o stuleciu nowem, którego oblicze wkrótce się wynurzy z mroków przyszłości.

Ze wzruszeniem tedy pisałem artykuł wstępny:

„Nie jest to pora ani radości, ani żalu" — pisałem — „jeno chwila mocnego uświadomienia sobie, że przecież ten czas, którego skrzydeł nie słychać, — bieży... Gdy na wieży bije zegar, to nikt tej godziny nie bierze tak materjalnie, jak strażnik w wieży, czekający na swój hejnał. Budynek wówczas wstrząsa się od dzwonu, a sługa cichego dla innych czasu czuje jego przelot fizycznie całem jestestwem".

Składałem tam życzenia czytelnikom

„Aby między warunkami szczęścia, do którego dążyć będą, nie zapoznawali godności osobistej i względu na dobro ogólne, a drogę prawdy uznawali za najkrótszą drogę do celu; aby rozumieli, że szczęście pozyskać można nie przez współubieganie się z innymi, lecz przez współdziałanie z nimi w celu osiągnięcia go dla wszystkich. Szczęście udziela się od innych w miłości, pozyskane przez miłość; aby dobro tworzyli koło siebie nakładem ducha swojego, nie licząc na siłę materjalną, w którą ich uposażył wiek ubiegły..."

Artykuł kończył się patetycznie: „Godzina bije... Bóg z nami!"

— — — — — — — — — — — —

Ogół czytający nie wie tego, ile wysiłku nerwowego kosztują takiego strażnika na wieży godziny bijące i hejnały. Ktoś, przebiegający zrana okiem gazetę, ani pomyśli, że to jakieś żywe nerwy przerabiają do literki każdą falę życia, dającą treść chwili bieżącej, dniom i nocom. Ileż w tem walki z warunkami pracy, ile dramatu, gdy słowo drukowane nie jest wolne od ucisku!

Jak wygląda taki dramat konkretnie, opowiem na przykładzie tej właśnie nocy między stuleciami.

Fatalnie się złożyło, że Nowy Rok przypadał we wtorek; poniedziałek nie jest dobry na duże roboty. Materjał złożony był na czas, ale go przetrzymała cenzura, niezadowolona, że tyle jej dano do czytania; cenzor się uparł, że wszystko odda razem, musi bowiem mieć wrażenie całości, jaki będzie ton. Do późnego wieczora nie było cenzury — nie sposób łamać!

Cenzorem „Kurjera" był p. radca Trofimowicz. Cenzorowie ubiegali się o „Kurjera Warszawskiego", było to bowiem wydawnictwo stosunkowo najzamożniejsze — było z czego „pociągnąć". Noworoczny numer! Robota dodatkowa, dotego odpowiedzialna: przegląd 19-go wieku! Nadomiar wiadomo było cenzorowi, że numer ten ja robię, osoba zaś moja wydawała się w Komitecie cenzury podejrzaną. Umówione też było w wydawnictwie, że stosunki z cenzurą załatwiane będą tylko oficjalnie przez osobę do tego przez władze upoważnioną.

Przedstawiciel redakcji był z tego powodu ofiarą wydawnictwa. Od wczesnego rana tego dnia pozostawał gdzieś na „konferencji" z Trofimowiczem, aby ocenzurowanie numeru przyśpieszyć.

Daremnie posyłało się gońców — cenzury nie było, nawet nie można było odnaleźć nikogo. Wieczorem stało się wiadomem, że konferencja odbywa się w handlu win u Arkuszewskiego na Miodowej. Woźni przynosili kawałki z części dalszych numeru, „konkursu stulecia" jednak nie było.

Koło godziny 11 podjął się misji zrozpaczony metrampaż. Poszedł. Zbliżała się północ — nie było go! Noc Sylwestrowa. Ludzie z redakcji rozpierzchli się;.. któż o tej porze nie ma towarzystwa wesołego? Stan moich nerwów psuł się.

Nie było rady. Udałem się sam na Miodową.

Nigdy nie zapomnę tej nocy. Może za mało miałem doświadczenia, zbytnio się egzaltowałem, zbyt tragicznie brałem swoją odpowiedzialność. Niewątpliwie przyczyniła się do niepokoju drażliwość autorska. Wskutek rozbudzenia wyobraźni historycznej wydawało mi się, że dokonywam rzeczy ważnej, w każdym razie — że znajduję się w momencie wyjątkowym, przełamywania się stuleci. Właśnie nadchodzi północ...

Noc — pamiętam — była spokojna; mróz lekki. Czytałem w kronice, że na Wiśle kry poczęły się ścinać. Koło Miodowej usłyszałem, że gdzieś dzwonią z wieży kościoła. Zanim zrozumiałem, co znaczy ten dzwon, już był drugi i trzeci i czwarty. Dzwoniono u Kapucynów, u Bernardynów, u Karmelitów; płynęły fale ze Starego Miasta. Porwał się jakiś huragan fal dźwiękowych. Stawało się coś ekstatycznego, porywającego za włosy — jakiś dreszcz, rozpieranie serca.

U Kapucynów jarzyły się światła. Chwilę wahałem się, czy wejść do kościoła. Stary wiek klęczał u ołtarza. Ale nie było czasu.

Z odrazą otwierałem drzwi do „handelku".

Za sklepem w zadymionej izbie rozpoznałem z trudem biwakujące grono. Na stole między butelkami poniewierał się mój „konkurs stulecia". Zwolniwszy metrampaża, stałem przed obliczem ciężko siedzącego cenzora, zbyt trzeźwy i może zbyt w swojem obliczu surowy, bo powitał mnie bez śladu uprzejmości i chęci dyskutowania na temat czerwono pokreślonych arkuszy.

Unosiłem je pośpiesznie; wydawały mi się, że krwawią. Całe sprawozdanie w wielu miejscach miało szczerby. Nie tyle jednak surowość cenzury, ile scena sama mną wstrząsnęła. Przebyłem jedno z ciężkich doświadczeń, po których człowiek się starzeje. Podniecona wyobraźnia podsuwała mi myśl, żem zajrzał w otchłań XIX wieku i zobaczyłem w symbolu prawdę niewoli, w której to stulecie spędziliśmy.

Przeszłość, miniona, zdawało się, bezpowrotnie. Dziś mamy poręczoną w konstytucji wolność słowa!..

— — — — — — — — — — — — — — — —

Jakże wyglądał ostatecznie ów numer noworoczny? 44 miał stronice, w tem ośm ilustrowanych w opracowaniu rysunkowem Sawiczewskiego. Na karcie tytułowej grecka postać z pochodnią, jakby przeczucie późniejszej Hestji Wyspiańskiego, jakby mówiła do czytelnika z tej karty:

„Strzegę twoich ócz i twoich rąk. Uchylam od cię mąk. Zdejmuję z czoła znamię trwóg, byś był, jako ten, co nie pamięta, przez jakie przeszedł ciemnie dróg".

W wynikach ankiety wyraził się smak ówczesnej elity warszawskiej i pogląd na ubiegłe stulecie. Najwięcej głosów padło na Mickiewicza i Sienkiewicza, za najlepsze ich dzieła uznano „Pana Tadeusza" i trylogję historyczną. W dziedzinie historji na pierwsze miejsce wydobyto „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta" T. Korzona, oraz Piotra Chmielowskiego „Historję literatury polskiej". W językoznawstwie uwieńczono Lindego za słownik języka, w etnografji Kolberga za „Lud", w antropologji Izydora Kopernickiego, w matematyce Wł. Folkierskiego, w astronomji Jana Śniadeckiego, w fizyce Zygm. Wróblewskiego, w naukach przyrodniczych Jędrzeja Śniadeckiego, Antoniego Wagę (entomologa), w medycynie Tytusa Chałubińskiego, w nauce prawa Antoniego Helcla, w naukach społecznych Józefa Supińskiego, w dramacie „Mazepę" Słowackiego, w komedji „Zemstę" Fredry, w malarstwie „Kazanie Skargi" Matejki, w rzeźbie „Gladjatora" Piusa Welońskiego, w architekturze „Kościół św. Florjana na Pradze" J. Dziekońskiego, w muzyce „Marsza żałobnego" Szopena i (w operze) „Halkę" Moniuszki.

Rozbicie całej twórczości na 24 grupy było operacją dosyć przypadkową; tak ułożył się zebrany materjał. Bardzo ciekawe są szczegóły głosowania, sposób w jaki rozbijały się cyfry w poszczególnych działach. Całość wypadła bardzo charakterystycznie dla Warszawy. We wszystkich niemal punktach, jeśli się dobrze przyjrzeć, decydował sentyment narodowy. Jeśli odznaczono np. kościół Dziekońskiego, to dlatego, że jego wieżyce wygrażały obok stojącemu soborowi prawosławnemu; gladjator Welońskiego symbolizował nie martyrologję, lecz siłę, zapowiedź walki. W sumie ogólnej można na podstawie tej ankiety stwierdzić, że taki był a nie inny pogląd historyczny Warszawy na ubiegły wiek XIX.

W sprawozdaniu z ankiety szczególnie mnie bolało, że cenzor wykreślił wszystko, co dotyczyło „Ojcze Nasz" Cieszkowskiego. Przytoczyłem na końcu przykłady, jak głosowały niektóre osobistości, a więc opinje Balzera, Chmielowskiego, Gersona, prof. Hoiewińskiego, Al. Jabłonowskiego, Jenikego, Konopnickiej, Korzona, Deotymy, Orzeszkowej, Bol. Limanowskiego, Struwego i in.

Kilka stron miało u dołu, jak falbanę, odcinek poetycki Antoniego Langego p. t. „Na przełomie stuleci". W kunsztownych strofach Słowackiego Masynisa wypowiadał swoją historjozofję. Ów „odwieczny historji szatan" mówił okropne rzeczy, ale jakże pewny był siebie:

Zawołaj: Miłość — ja ci z niej wytłoczę
Szał nienawiści w najdzikszym żywiole;
Zawołaj: Prawda — ja z niej fałsz wytoczę,
Zawołaj: Wolność — stworzę z niej niewolę.
Krzycz: Miłosierdzie — krwią ci je obroczę,
Krzycz: Sprawiedliwość — ja z mych sił przewrotnych
Wyłonię rozpacz wszystkich dusz samotnych

I każdą ducha ludzkiego słoneczność
Przetrawię zwolna w czarnego pająka,
Co daje czuciom ludzkim obosieczność
I na zwierzęce szały je obłąka.
Jam utajona ironja i sprzeczność
Bytu, co jadem w dzieje ludów wsiąka
I wszystko w czarną odwrotność przerzuca...
Mówił, a śmiechem dyszały mu płuca.

Poskromił Masynisę błyskawicą anioł, który był z „Króla Ducha" i wszystkie przyrodzenia żywioły

Jakby echowym Boga manifestem
Wołały: Jestem!

Walka Anioła z Szatanem, ducha narodowego z rozkładem—to stała treść dziejów. Widziało się te duchy na progu nowego stulecia; poeta zapowiadał ich dalszą walkę.

Lange był dobrym poetą — nie dlatego, że trudne rymy składał, ale że miał poczucie tragiczności dziejów. Ogół bilansował zdobycze Króla Ducha, jego myśl śledziła Masynisę.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

Po dłuższym odpoczynku zbierze się niebawem sejm, by „przepracowywać“ — nie siebie oczywiście, lecz budżet. Czasu na obrady zostało tak niewiele, że właściwie i budżet po zakończeniu sesji będzie świeży raczej, niż „przepracowany“. Właśnie to poczytuje sobie obóz rządzący za chlubę, że dyskusje w sejmie są tak niepełne, tak ograniczone przepisami formalnemi, i tak w danych warunkach płytkie pod względem treści. Widzą w tem „nowe państwo“. Obserwator nieuprzedzony łatwiej dojrzy w warunkach dzisiejszych pracy parlamentarnej coś innego: poprostu partyjnictwo, bujniejsze niż kiedykolwiek. Z kół sanacyjnych często słyszymy zapewnienia, że BB nie jest partją. Jest to jeszcze jeden przykład werbalizmu, o którym nieraz na tem miejscu pisaliśmy. BB rzekomo dlatego nie jest partją, że stawia interes całości przed interesem części, dobro narodu i państwa przed dobrem jakiejkolwiek jednostki, klasy, grupy... Tą cechą wyjątkową różni się jakoby od wszystkich innych stronnictw w Polsce, z których każde interes własny niechybnie wyżej ceni od interesu Państwa. Co najwięcej razi w tej doktrynie, to strach przed nazywaniem rzeczy po imieniu. Zorganizowana „sanacja“ boi się nazwać partją, tak jak boi się zerwać z hasłem „demokracji“ np. Nie lęka się partyjnictwa, lęka się jego nazwy. Rządy „sanacji“ są to rządy jednej grupy zorganizowanej, jednej partji, i tylko zabobon może odbierać odwagę wymówienia słowa, malującego dokładnie stan rzeczy. Tu jednak chcemy zwrócić uwagę na inne wstecznictwo, gorsze niż ten zabobon. „Sanacja“ ciągle nie może spostrzec, że naród jest rzeczywistością, nie umie wżyć się w państwo — dla niej wciąż „nowe“. Przy pomocy całego aparatu władzy wykonawczej usiłuje utrwalić stan umysłów z przed lat trzynastu, piętnastu, — ależ dwudziestu siedmiu. Ile w tem reminiscencyj z czasów niewoli, każdy łatwo zrozumie. Garść sanatorów — oto jedyni „państwowcy“: bo robotę nad zbudowaniem państwa niby ciągle się dopiero zaczyna, jak w pierwszym tygodniu. Ciągle trwa to idealne przedłużanie stanu niewoli.

W szczególności nie umie „sanacja“ spostrzec tych postępów, jakie naród, wbrew wszystkim przeszkodom, poczynił od czasu odzyskania niepodległości. Jeśliby prawo moralne „sanacji“ do rządów opierało się na tem, że grupa ta, jak o tem zapewnia, na oku chce mieć dobro całości przed dobrem części — to prawa tego przezto samo jeszczeby nie miała. Byłaby tylko ostatnią z pośród partyj, które pogląd ten stworzyły, lub sobie przyswoiły. Obóz wszechpolski oddawna kierował się nim w swej polityce, pierwszy wypisał go na swym sztandarze i najgłębiej uzasadnił w teorji. Nie jest on jednak dziś wyłączną własnością wszechpolaków. Gdy państwo odzyskiwało niepodległość, prymitywizm polityczny społeczeństwa był tak okrutny, że istotnie nawet w poważniejszych ówczesnych stronnictwach (poza najsilniejszym obozem narodowym), takich, jak ludowcy lub socjaliści, nie brakło wyznawców poglądu, że stronnictwa te służyć powinny interesom klasowym przedewszystkiem. Dziś nie możnaby twierdzić, że jakiekolwiek poważne stronnictwo polskie postępować gotowe jest w działaniu politycznem istotnie wbrew interesom państwowym i ogólno-narodowem. Nawet socjalistom odmówić tego trudno, że swój program rozszerzenia działalności państwa pojmują, jako program służby interesom całości; a dodać trzeba, że jako etatyści o wiele uczciwiej głosić mogą hasło „wszystko dla państwa“, niż sanatorzy. Wspólnota tej podstawowej idei jest może głównym zyskiem, jaki osiągnęliśmy po wojnie w życiu politycznem, skądinąd tak rozstrojonem. Zdobyliśmy rzecz normalną w każdem państwie narodowem, zysk w istocie minimalny — choć tak cenny. Mimo wspólnoty tej idei naczelnej, programy i działania mogą być różnej, bardzo różnej wartości; i niemniej różna też w praktyce może być bezinteresowność partyj. Otwarta więc pozostaje np. kwestja, czy „rząd pułkowników“ skompletował ludzi najkompetentniejszych; czy „sanacja“ jako partja najmniej okazała zachłanności. Niewątpliwe zupełnie jest to, że życie polityczne gwałtownie uwsteczniła. Ozdabiając się znienacka mianem jedynej partji dobra publicznego, nie zauważyła, jaki proces normalizacji odbył się w życiu politycznem: że wszystkie odpowiedzialne partje polskie są mniej lub więcej partjami dobra publicznego i że ten stan rzeczy jest konieczny, zwyczajny w każdem państwie narodowem. Ogłaszając swój monopol w idealnych dla reklamy warunkach, obóz rządzący przeszkadza społeczeństwu widzieć postęp realny, jaki się dokonał od czasu początków odbudowy, łudzi je pozorem gorszego rozbicia partyjnego, niż rzecz ma się w istocie. To ma być wpływ „wychowawczy“... Jakiż to dziwny luksus: hodowanie wstecznictwa politycznego w społeczeństwie, posuwającem się naprzód z takim trudem.

NAUKA I LITERATURA

NOWE OBLICZE SARBIEWSKIEGO

Wiadomo było oddawna, że znakomity poeta łacińsko-polski M. K. Sarbiewski S. J. był przez pewien czas profesorem teologji w Akademji Wileńskiej i pozostawił szereg pism treści teologicznej, znanych jednak tylko z tytułów. Szczęśliwym trafem przed paru laty odkryto w zbiorach Bibljoteki Uniw. Stefana Batorego odpisy dwu, uważanych za zaginione, traktatów Sarbiewskiego, będących komentarzami do pewnych działów „Summy Teologicznej“ św. Tomasza z Akwinu. Odkrycie to jest ważnym przyczynkiem nietylko do lepszego poznania osoby i indywidualności poety, lecz także daje możność dokładniejszego zaznajomienia się ze stanem i poziomem ówczesnych nauk teologicznych w Polsce, a przedewszystkiem w jezuickiej Akademji Wileńskiej. Odnalezione zabytki rękopiśmienne omówił już w r. 1930 prof. J. Oko (w czasopiśmie: „*Humanitas*“, I), a teraz ukazała się dysertacja doktorska X. Józefa Zdanowicza „(Sarbiewski na tle Kontrowersyj teologicznych swego wieku“. Studja Teologiczne II. Wilno 1932. Skład główny w księgarni św. Wojciecha. Str. 96 i 2 tablice.), w której autor zajmuje się wyłącznie poglądami Sarbiewskiego, zawartemi, we wspomnianych traktatach, na aktualne w teologji katolickiej XVII wieku spory, dotyczące przedewszystkiem stosunku łaski Bożej do wolności osób stworzonych, poznania przez Boga zdarzeń przyszłych, Opatrzności i t. p.. Spory te, poruszające może najtrudniejsze zagadnienia teologiczne, były podówczas nadzwyczaj ożywione w Zachodniej Europie, zajmowały umysły wszystkich teologów, wytworzyły dziesiątki przeróżnych systemów teologicznych, które można ugrupować w dwa

wielkie obozy: szkołę dominikańską, wywodzącą się od o. Bannesa O. P. (rok 1523), kładącą nacisk przedewszystkiem na znaczenie łaski boskiej przy spełnianiu czynów dobrych, i szkołę jezuicką, biorącą początek od o. Moliny S. J. (r. 1588), podkreślającą znaczenie przy takich czynach wolnej woli. Spory te do dziś dnia nie zostały w sposób dogmatyczny rozstrzygnięte przez Kościół, który pozostawia każdemu katolikowi wolność w pewnych granicach, określonych przez dogmaty, zapatrywań na te kwestje.

Ks. Zdanowicz, bardzo sumiennie porównywając poglądy Sarbiewskiego na te zagadnienia z różnemi systemami, należącemi do szkoły jezuickiej (Sarbiewski jako jezuita był jej zwolennikiem, czyli tzw. molinistą), wykazuje, iż poeta należał do tzw. późniejszej szkoły jezuickiej, wywodzącej się od znakomitych teologów (i filozofów) Suareza i Vasqueza (od którego, zdaje się, najwięcej jest zależny) i acz kolwiek sam był mało oryginalny i twórczy w tej dziedzinie, to jednak posiadał dużą znajomość współczesnej teologji i jego wykłady stały na wysokim poziomie. Badania te wykazują, że w w Wilnie w pierwszej połowie XVII wieku istniał żywy ruch teologiczny i ścisły kontakt z Zachodem.

Należy życzyć, aby także i inne części omawianych rękopisów były zanalizowane krytycznie, a przedewszystkiem iżby jaknajprędzej wydano tę odzyskaną puściznę po wielkim poecie drukiem w celu ochrony od zguby i udostępnienia ogółowi.

SIGMA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ukazała się w handlu księgarskim, wydana nakładem „Myśli Narodowej" książka, która zainteresuje cały świat pedagogiczny i rodziny mające do czynienia ze szkołami, mianowicie „Kryzys wychowania i oświaty". Autorami tej zbiorowej publikacji są gruntowni i odpowiedzialni znawcy przedmiotu „J. Hajewicz i S. Jaworski" (pseudonimy, jak się można domyśleć). Książka jest zbiorem rozpraw na tematy aktualne i piekące, mianowicie:

1. Myśli o wychowaniu państwowem.
2. Niedola szkolnictwa powszechnego.
3. „Sanacja" szkoły średniej.
4. Niestałość pracy nauczycielstwa.
5. Upadek szkolnictwa w okresie rządów sanacyjnych.
6. Pokrzywdzenie ludności polskiej w nowej ustawie szkolnej.
7. Stan administracji szkolnej.
8. Walka o duszę młodzieży.
9. Oświata pozaszkolna i rola „sanacji".

Wszystkie rozprawy oparte są na gruntownem przemyśleniu, wykład jasny i poważny, przepojony patrjotyzmem i miłością sprawy wychowania. Wielką wdzięczność winniśmy autorom za książkę, którą uważamy za czyn obywatelski.

Książka jest do nabycia we wszystkich księgarniach. Cena zł. 2,50.

*

Nakładem „Naszej księgarni" sp. akc. Związku Nauczycielstwa Polskiego ukazał się polski przekład wybitnego i bardzo interesującego dzieła prof. uniwersytetu w Cambridge, Ernesta Barkera pt. „Charakter narodowy". Z oryginału angielskiego przełożyła pracę tę dr. Irena Pannenkowa. O książce powyższej napiszemy wkrótce obszernie.

*

W najbliższym zeszycie „Myśli Narodowej" rozpoczniemy druk obszerniejszej pracy prof. uniwersytetu Jagiellońskiego, Stefana Surzyckiego o tak aktualnem dziś zagadnieniu autonomji szkół akademickich.

*

„Burza nad Brukiem" Michała Rusinka (wyd. Gebethner i Wolff) to powieść tęga, oparta na żywej obserwacji, może na przeżyciach własnych autora. Widownią bowiem wypadków, opowiadanych w tej książce, jest rodzinne miasto Rusinka, Kraków; można ją nawet określić bliżej granicami Rynku (z widokiem na Grodzką), oraz ulic: Sławkowskiej i Florjańskiej — z ulicą świętego Jana pośrodku. Poznać tę okolicę łatwo, mimo że „dla niepoznaki" tu i owdzie odmieniono nazwy, bardzo niewinnie zresztą, tak jakby ktoś tabliczkę na murach zlekka tynkiem zasmarował. Poznać łatwo można nawet pewne osoby, epizodyczną postać wysokiego „hrabiego - poety", również ze Świętojańskiej ulicy. Szczególiki te, dyskretnie wetknięte w fabułę, dodają wielkiego uroku całości, zwiększają znaczenie powieściowego realizmu. A realistą bywa Rusinek wszędzie. Nie stylizuje Krakowa, jak Kaden-Bandrowski w „Mieście mojej matki", nie bawi się ani w satyryka ani w moralistę i opowiada poprostu, jak co było — i przez to osiąga efekty wielkie, zarówno tragiczne jak humorystyczne. W powieści są dwie akcje — a tytuł wzięły od tej, która może stoi na drugim planie, służąc niekiedy tylko jakby za tło chronologiczne. Burzą nad brukiem jest wypędzenie Austrjaków z Krakowa w październiku 1918 r., poprzedzone szeregiem drobniejszych ruchawek na tle politycznem czy głodowem. W akcji tej jest szereg epizodów mocnych; kapitalna jest np. scena śpiewania obowiązkowego w szkołach „hymnu narodów" „*Gott erhalte*" (Boże wspieraj, Boże ochroń" — co ktoś rymował z... Pochroń); wymowna w swej ironji jest wzmianka o delikatnej ręce austrjackiego kapitana, co „w rękawiczce, lecz wprawna, biła przecież po mordzie dziesięć roczników polskiego rekruta". — Akcją drugą, węższą, ale ważniejszą w powieści, są dzieje młodego Piotra Ożelucha, który w dziecińtstwie przerywa naukę szkolną, by pomagać matce, stróżce z ul. ś. Jana. Ciężkie to było życie: „mieszkanie mieli „za darmo", czyli za to Piotrusiowe harowanie w bramie, na schodach i na bruku przed domem"... Dzieje te stają się bardziej tragiczne, gdy umiera pielęgnowana przez Piotrusia matka i biedny sierota wyrzucony na bruk znajduje się w nędzy najstraszliwszej, jaką można sobie wyobrazić. Sytuacja zmienia się na lepsze, gdy spotyka się z czyścibutem i dostaje chwilowy zarobek, a potem — dzięki dokonanemu wynalazkowi — zdobywa nawet większą sumę pieniędzy. Tu się powieść urywa — pewno wnet ukaże się cyęść druga, konieczna nawet dla organicznego zamknięcia całości. Największą zaletą książki stanowi galerja dobrze zakreślonych typów ludzkich (stróżka, mecenas Hupka, krawiec Wyderka etc.). Język jędrny i obrazowy, pełen dosadnych wyrażeń z potocznej mowy krakowskiej. (J. B.)

*

W powojennych Włoszech, które tak wielką uwagę przywiązują do rozwoju floty oraz polityki morskiej i kolonjalnej, zdobył sobie wielkie uznanie zapomniany poprzednio powieściopisarz, zmarły tragicznie w r. 1911 kapitan Emil Salgari. Człowiek ten, którego życie było prawdziwym romansem awanturniczym (służył jako admirał w armji jednego z radżów-korsarzy, walczących przeciw Anglikom) stanowczo o wiele więcej jest wart jako literat od takiego Karola Maya, którego tomiska czytywała nasza młodzież przed wojną. W utworach Salgariego, mimo pewnego konwenansu z czasów Cooperowskich, jest wiele rzeczy, mogących podbić dzisiejszego czytelnika. Akcja wartka, pełna napięć dramatycznych, bogactwo faktów z zakresu geografji, etnografji i przyrody, tło egzotyczne — wszystko to zespala się z szlachetną myślą przewodnią, jaką bywa zazwyczaj pochwała charakteru niezłomnego bojownika, zwalczającego w imię wolności narodów wszelką tyranję, wszelkie przeszkody. Widocznie i polska młodzież — narówni z włoską — upodobała sobie te cechy i dążności, skoro w przekładzie polskim pojawia się już czwarta z kolei powieść Salgariego (wszystkie pięknie wydane przez Księgarnię Św. Wojciecha w Poznaniu). Ostatnia z nich nosi tytuł „Władca ognia" (w oryginale „*L'uomo del fuoco*"), a treść ma może najbogatszą. Wzięta ta treść jest z czasów odkrywania i podboju Brazylji; czasy te — i późniejsze nieco — powinny kiedyś i polskiego pisarza pobudzić do twórczości, bo np. postać jednego z odkrywców Brazylji, admirała Krzysztofa Arciszewskiego dotychczas — poza sylwetką w „Wietrze od morza" Żeromskiego — nie została bodaj wyzyskana w literaturze pięknej... Diego Alvarez Viana de Correa, *conquistador* portugalski, wzięty przez Salgariego za bohatera powieści, nie jest postacią tak wspaniałą, jak młodszy od niego o pół wieku Arciszewski; brak mu genjuszu strategicznego i politycznego, zato ma większy zmysł kolonizatorski; zresztą w powieści widzimy go nietylko jako dobrego partyzanta w wojnie z czerwonoskórymi, ale przedewszystkiem jako doskonałego myśliwca. W powieści nie brak anachronizmów (w XVI wieku używane są... metry!), ale to ostatecznie mało szkodzi... (J. B.)

*

Wprawdzie Czechy tylko w fantazji Szekspira (Powieść zimowa) leżą nad morzem, a dowcip o czeskiej (jak i szwajcarskiej) marynarce należy do bardzo starych i spowszedniałych, jednakże przyznać należy, że nasi pobratymcy o sprawach morskich poważnie myślą i głoszone przez nich hasło „*Morze Slovanum*" nie jest bynajmniej frazesem w ich ustach. Niedawno widzieliśmy w porcie polskim okręt czeski, a słyszymy, że w różnych wyprawach morskich nieraz Czesi biorą żywy udział. Do takich czeskich podróżników morskich — i to najśmielszych — należy dr. Wacław Vojtiech, towarzysz wyprawy Byrda do bieguna południowego na ła-

maczu lodów *„City of New York“* w r. 1928. Na podstawie jego listów i relacyj opracował literat i reżyser czeski J. V. Szmejkal interesującą powieść, wydaną świeżo w polskim przekładzie M. Bunikiewiczowej p. t. „Sfora bieguna południowego“ (nakł. Książnicy-Atlasu); dużo materjałów dostarczyła mu też rozprawa samego Byrda, poświęcona zdobywaniu bieguna. Sam autor w przedmowie aż nadto skrupulatnie wyszczególnia wszystko to, co wziął ze wspomnianych źródeł, a co dotworzył fantazją. Z tej drugiej dziedziny wzięty jest — co zgóry było do przewidzenia — wątek romansowy, bo jakżeby się bez niego, wedle konwencjonalnych pojęć, obeszło? W każdym razie i ta strona utworu, właśnie przez swą dyskrekcję, ma swój odrębny urok i „Marjorie z lądu“ wcale nie wadzi zasadniczemu tematowi książki. Należy spodziewać się, że temat ten, szlachetna idea powieści, piękna szata zewnętrzna książki i dobry przekład zjednają „Sforze“ liczną rzeszę młodszych i starszych czytelników. (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Nasza wiedza o świecie jest wciąż jeszcze stanowczo za szczupła, zwłaszcza, jeśli wziąć pod uwagę dokonywające się w świecie zmiany, zmuszające wszystkich do bardzo bacznej ich obserwacji. Niestety, polska literatura jest w tym zakresie uboga i uciekać się musimy z konieczności do książek, pisanych w języku obcym. Dziś mamy do zanotowania jedną z takich książek: jest nią mianowicie książka d-ra Wilhelma Schaefera p. t. *„Australiens Wirtschaft und Wirtschaftspolitik“* (Hannover, Restuso-Verlag 1931, s. 155). Książka składa się z 4 rozdziałów. Pierwszy, będący rodzajem wstępu, informuje nas o podstawach współczesnego życia australijskiego, drugi — o społeczeństwie australijskiem w przeszłości i teraźniejszości, trzeci — o życiu gospodarczem i polityce gospodarczej, czwarty wreszcie — o oddziaływaniu gospodarstwa światowego na Australję. Książka może być bardzo pożytecznym informatorem i ze względu na brak zupełny literatury w tej dziedzinie zasługiwałaby na przetłumaczenie na język polski. (J. P.)

*

Zagadnienie handlu ratowego jest dziś popularnym tematem dyskusyj ekonomicznych. Byliśmy świadkami jego szybkiego rozpowszechnienia się w Polsce. Widzieliśmy, jak ujemne skutki pociągnął za sobą w Stanach Zjednoczonych. W każdym razie zagadnienie handlu ratowego stało się zagadnieniem, wobec którego trzeba ustalić wyraźne stanowisko. W tej sprawie duży pożytek oddać może książka dr. Waldemara Kocha p. t. *„Das Abzahlungsgeschäft in Handel und Industrie und seine Finanzierung“* (Berlin 1931, s. 182). Nie dlatego, byśmy tam mieli znaleźć w interesującej nas sprawie stanowisko, którebyśmy mogli uznać za swoje, ale dlatego, że zawiera ona bardzo bogaty materjał faktyczny, wprowadzający *in medias res* interesującego nas zagadnienia. Powstanie i rozwój handlu ratowego, przepisy prawne w tej dziedzinie, sposoby finansowania, technika handlu ratowego, instytucje pomocnicze, jak wywiadownie, ubezpieczenie kredytu, inkaso, wreszcie skutki gospodarcze handlu ratowego — oto najważniejsze sprawy poruszone w książce. (J. P.)

*

Aurèle de Chanlatte był niegdyś młodym i kochał się w pięknej ale kapryśnej Nieves de Penalosa, która stała się Nieves de Talavera. Od tej chwili upływają jednak lata i de Chanlatte, jakkolwiek nie stał się mizantropem, to jednak kryje swą wielką uczuciowość pod pokrywką ironji. Ta ironja atoli odnosi się zwłaszcza do starszych, natomiast cała jego sympatja skierowana jest do maluczkich. Kocha ich na sposób starego kawalera. Z takiem właśnie uczuciem odnosi się do swych siostrzeńców oraz do Didi de Coury. Ta jednak trzynastoletnia dziewczynka, swym wdziękiem i swoją dumą budzi w nim dawne wspomnienia. Na jej twarzy doszukuje on podobieństwa z ową Nievez, która tak głęboko wzburzyła jego egzystencję. I mała dziewczynka, zupełnie nieświadomie naturalnie, odegra swą tajemniczą rolę czarodziejki, pobudzającej do życia dawne marzenia. Ponieważ jednak niemi nie żyjemy, więc autor tej powieści *„Simons“* (Grasset édit.) nie omieszka zastąpić tych marzeń rzeczywistością. Dokoła zaś tej ostatniej, p. Bondy ugrupuje cały szereg barwnie nakreślonych dziecinnych postaci. Powieść ta, pełna subtelności i ciekawych psychologicznych obserwacyj, nie jest jednak pozbawiona i ironji, jeżeli chodzi o opisy obecnych obyczajów. Do tego zaś posłużyły, pomiędzy innemi, p. Bondy obrazy ze sławnej miejscowości kąpielowej Deauville, będącej niezawodnie *up to date* i to pod każdym względem. (I. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

INSTYTUCJE poświęcone sztuce, organizując wielkie imprezy wystawowe, zwane salonami, pragną właściwie jakby dać przegląd artystycznych sił i możliwości. W razie pomyślnego zrealizowania tych zamierzeń, możnaby je uważać za wierny obraz, jeśli już nie całego frontu współczesnej sztuki, to przynajmniej pewnego jej odcinka. By tak się stało, instytucje organizujące salon i *jury* muszą niejako rozszerzyć ramy swych zwykłych uprawnień i czynności. Niedość jest rozesłać zaproszenia, a potem dobre, z prac nadesłanych, przyjmować, a złe odrzucać; właściwie powinno się nieraz odrzucić i utwór na poziomie, jeśli jego typ (może przypadkowo) jest zbyt licznie reprezentowany, w stosunku do dzieł o innym charakterze artystycznym i stosunek ten nie odpowiada rzeczywistości. Oczywiście, trzeba sobie również zapewnić możliwie liczny udział wszystkich wybitniejszych i bardziej indywidualnych talentów.

Na takich podstawach zorganizowana wystawa może dopiero być prawdziwym sprawdzianem tego, co się dzieje w sztuce. Trzeba przyznać, że nasze instytucje wystawowe często nie czynią zadość omówionym warunkom. „Zachęta“, swemi salonami, już od dość dawna przeczy rzeczywistości artystycznej, przyjmując utwory nie odpowiadające najskromniejszym nawet wymaganiom, często w liczbie nadającej specyficzne i ujemne piętno całości. Ton nadają również stali urzędowi dostawcy — t. zw. „zachętowicze“ — rozmaitych obrazków, pejzaży, wnętrz, portretów, malowanych mechanicznie niemal, bez żadnego wysiłku i zapału, martwych płodów jakiej-takiej rutyny.

Ostatni Salon „Zachęty“, posmakiem skandalicznej sensacji zabarwia fakt przyznania nagrody miasta Warszawy dziełu, które wogóle nigdy nie powinno było progów „Zachęty“ przekroczyć. Wiemy z regulaminu, że w *jury* nagród tego rodzaju zasiada także przedstawiciel miasta i on tu zapewne coś przeskrobał — nie chcemy tego dochodzić — fakt faktem, iż powaga instytucji, z racji takiego wyczynu, znów mocno ucierpiała.

Na ogólnem tle, o skreślonym już charakterze, wyróżniają się przeważnie prace młodszych: W. Bielawskiego, A. Grabarza, St. Karniewskiego, M. Konarskiego, M. Nehringa, J. Książka i St. Zarembskiej. Z malarzy starszego pokolenia — przedewszystkiem martwe natury Pautscha, potem obrazy M. Krzyżanowskiej i M. Łada-Maciągowej.

W dziale rzeźby trzeba wymienić tęgą głowę boksera, przez A. Karnego, a w grafice: drzeworyty Mrożewskiego i solidny rysunek Sopoćki.

*

Tegoroczny Salon Zimowy IPS-u, w stosunku do poprzednich, ma charakter dość flegmatyczny, co jest tem smutniejsze, że bierze w nim udział przeważnie młodsze pokolenie artystyczne. Nie dopisało wielu artystów starszych i młodych, a ci, co prace swe wystawili, dali dzieła dla siebie typowe, lecz nieraz słabsze od uprzednio pokazywanych. Poza gronem artystów o indywidualności całkowicie już ustalonej, na wystawie mamy do czynienia przedewszystkiem z uczniami prof. prof. Pruszkowskiego, Kowarskiego, Pękalskiego i Ka-

pistami. Uczniów Pruszkowskiego cechuje nieraz ambicja pomysłowej, że się tak wyrazimy, inscenizacji obrazu, dość duża rozpiętość wybieranych tematów i zręczność pendzla w technice płynno-olejnej. Kapiści ograniczają swe zainteresowania wyłącznie do koloru, nieraz ze szkodą dla innych stron dzieła, chociażby kompozycji. „Kowarczycy" mają także ambicje kolorystyczne, uwzględniając przytem, więcej od Kapistów, rysunek i bryłę.

Do najlepszych na wystawie należą prace: X. Dunikowskiego, R. K. Witkowskiego, Mackiewicza, J. Simon-Pietkiewiczowej, Wł. Kocha; pozatem: Br. Bartla, A. Żywa, St. Szczepańskiego, Z. Waliszewskiego i St. Zalewskiego. Rzeźbę dobrze reprezentują: J. Szczepkowski, Strynkiewicz, Pietkiewicz, Trzcińska-Kamińska i A. Żurakowski.

WIKTOR PODOSKI

FILM

EUROPA: „Pałac na kółkach", reż. R. Ordyński.

Pokazany oddzielny, obraz nie wyraża nic, poza tem, co na nim widzimy. Jego treść jest wyłącznie treścią wzrokową. Jeżeli zaś pokażemy na ekranie kolejno po sobie dwa obrazy, t. zn. zajmiemy jego pole dwukrotnie, w każdym wypadku odmienną treścią wzrokową, to z takiego zestawienia wyniknie pewien sens, mieszczący się już poza samemi obrazami: treść nie wzrokowa, ale ta, z której się składa opowieść, fabuła filmu. Stara to prawda, znana oczywiście filmowcom, przypominamy ją tylko dlatego, że reżyserzy u nas często zapominają o tem, co z tej prawdy wynika. Niedość jest dać na ekranie rozmaitość wizualną — niektóre zestawienia mogą być b. kuszące — trzeba pamiętać o tem, czy tego rodzaju posunięcia nie staną się wypadem w prawo lub lewo, poza prostą drogę zasadniczego biegu akcji. Każdy następny obraz czyni reżyser różnym od poprzedniego, lecz jednocześnie powinien nie zapominać, aby każdy posuwał tok fabuły o krok naprzód. Brak równowagi między treścią wzrokową, a literacką (nie mówimy naturalnie o poziomie literackim scenarjusza) mści się, dając w rezultacie, obok ruchliwości ekranu, żywości tempa, martwotę fabuły. Od grzechu tego nie wolni są w pewnej mierze autorzy „Pałacu na kółkach". Zmienność treści wizualnej, rzucanej na ekran, daje filmowi ruch i tempo i czyni ją ciekawą dla oczu, ale często szereg następujących po sobie obrazów nie posuwa akcji ani o krok naprzód. Najciekawsza, najżywsza i najbardziej różnorodna jest mniej więcej jedna trzecia filmu, poczynając od początku. Zmienności obrazu towarzyszy zmienność osób, unika się używania jednego aktora na dłuższy dystans. Ruchliwość dźwiękową (słowną) wyrażono zapomocą jakby gry zespołowej: gwar głosów ludzkich towarzyszy wielu obrazom, wyławiamy z niego poszczególne wyrazy. Są w tym filmie ambicje artystyczne, coprawda objawiające się w sposób niezupełnie indywidualny, rodowód wielu pomysłów nietrudno byłoby wykryć. Między innemi nadużyty został dowcip łączenia dwuch odrębnych scen zapomocą montażu słownego.

Strona dźwiękowa, pod względem artystycznym, na poziomie, pod względem technicznym — niezawsze (rezonans głosu). Zaletą jest także pogodny ton całości; dawniej z takiego tematu (życie cyrkowców) zrobionoby kryminalny dramat z demonizmem za 50 groszy.

Z aktorów wyróżniają się Lubieńska, Zelwerowicz i, w małej rólce, nader obiecująca p. Halina Zawadzka.

Scenarjusz według powieści Kossowskiego.

PALACE: „Raj podlotków", film czeski.

Pogodny, miły, wesoły utwór, zawierający szereg zabawnych pomysłów, rdzennie kinowych, z najlepszych czasów filmu niemego. Opisuje perypetje młodego profesora-fajtłapy na pensji i zabiegi pensjonarek, „umilających" mu życie, z prowodyrem, Anny Ondrą na czele. Dziwne, że temat życia szkolnego, tak, zdawałby się, wdzięczny, tak mało jest naogół w filmie wyzyskiwany.

W roli profesora — b. dobry Karol Lamacz.

Film odpowiedni dla młodzieży.

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Marwegowa Elżbieta. Capri. (Poezje) Poznań 1932. Skład u św. Wojciecha. (z portretem)

Marwegowa Elżbieta. Ulica (Poezje). Poznań 1932. Skład u św. Wojciecha.

Pamiętnik Literacki. Rocznik 29, zesz. 3—4. Lwów 1932. Ossolineum.

Słoneczniki. Przegląd wiedzy pomijanej. Listopad 1932. Warszawa. Redaktorka M. H. Szpyrkówna.

Handelsman Marceli. Mickiewicz w latach 1853—1855. Warsz. 1933. F. Hoesick. S. 84.

Paciorkowski Stan. W sprawie naszej konstytucji. Warszawa 1932. Skład u Gebeth. i Wolffa.

Przybylski A. Utopje. Idee i projekty związku narodów i wieczystego pokoju. Warszawa 1932. Dom Książki Pol. S. 63.

Stendig S. dr. Motywy biblijne w twórczości Goethego. Kraków 1932. S. 19.

Zaleski Zyg. L. *Attitudes et destinées. Faces et profils d'écrivains polonais.* Paris 1932. S. 375. *Societé d'édition „Les belles Lettres"*.

Rosen Jan. Wspomnienia 1860—1925. Spisała Anna Leo. Warszawa 1933. F. Hoesick. S. 274. (z portretem)

Broniewski Wład. Troska i pieśń (Poezje) Warszawa 1932. F. Hoesick.

Dzięciołowski Alfons. Było ich trzy. Warszawa 1933. F. Hoesick. (Poezje)

Brandstaetter Roman. Węzły i miecze (Poezje). Warszawa 1933. F. Hoesick.

Januszewska H. Exodus (Poezje) Warszawa 1933. „Bluszcz".

Kozłowski W. M. Co i jak czytać? Wyd. VI. Poznań 1932. Skład gł. u Gebethnera i Wolffa. S. 244.

Orsini-Rosenberg Stan. dr. Procesy rozkładowe w grupach etnicznych niezorganizowanych. Warsz. 1933. Inst. badań spraw narodowościowych. S. 45.

(Siemaszkowa Wanda). 45 lat pracy scenicznej Wandy Siemaszkowej (1887—1932). Zbiorowa książka jubileuszowa, wydana staraniem komitetu jubileuszowego. Lwów 1932. S. 75 in 4° z ilustr. (Nabywać można w ratuszu lwowskim, pokój nr. 118 u p. Ochrymowiczowej. Cena 5 zł.).

Smogorzewski Kazimierz. *La Pomèranie polonaise* (z 40 mapami i 40 ilustr.). Paryż 1932. S. XVI i 462.

Nakładem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu wyszły teraz następujące książki:

Marlicz Jerzy. Łowcy przygód. Powieść.

Saeyeys M. Elekta. Powieść mistyczna. Przekład K. Bobrowskiej.

Lekeux O. M. Płomień ofiarny. Życiorys M. Lekeux. Przekład Kozarzewskiej.

Machay Ferd. ks. Zadania duszpasterskie świeckich. S. 180.

Bougaud ks. bisk. Credo. Dogmaty S. 376.

Berkan Wład. Ks. patron Wawrzyniak w moich wspomnieniach. Z przedmową ks. Prądzyńskiego. S. 179.

Apologeticus to jest obrona konfederacyj. Wydał i wstępem opatrzył Edmund Bursche. Kraków 1932. Akadem. Umiej. Bibljoteka pisarzów polskich. S. 84.

Hajewicz J. i Jaworowski S. Kryzys wychowania i oświaty. Warszawa 1923. Nakładem „Myśli Narodowej". Dom Książki Polskiej. S. 115. Cena zł. 2.50.

Towarzystwo Naukowe Warszawskie. Warszawa 1932. Nakładem Tow. S. 92.

Sprawy Narodowościowe. Lipiec — wrzesień. Nr. 4 — 5.

Krzesiński Andrée. *Une nouvelle philosophie de l'immanence. Expose et critique de ses postulats.* Paryż 1931. Alcan. S. 134.

Ruch Literacki, październik, Nr. 8.

Swiętosławski Wojciech prof. Uwagi o projekcie nowej ustawy o szkołach akademickich. Warszawa 1932. S. 7.

Okolski S. J. Przemysł i rolnictwo. Warszawa 1932. S. 16.

Machay Ferd. ks. Wyszkolenie duchowne apostolstwa świeckiego. Poznań 1932. S. 24.

Szyller Fryd. Don Karlos infant hiszpański. Przekład Kazimiery Iłłakowiczówny. Warszawa 1932. Gebethner i Wolff.

Strug Andrzej. Żółty krzyż. T. II Bogowie Germanji. Warszawa. Gebethner i Wolff.

Choroszczeński Michał. Zazdrość i medycyna. Powieść. Warszawa. Gebethner i Wolff.

OFENSYWA

W „OBRONIE"... SZCZURÓW

Z... WSPÓLNEGO POKOJU...

TRZECI zatem czy czwarty człowiek w Polsce zaczyna robić karjerę błyszczącą przez, czy na, czy dzięki, czy z pomocą używania, czy nadużywania, czy przeżuwania słów i słówek z kordegardy, z zamtuzu, z latryny, z kanalizacji, z Kercelaka, z „Cyrku" i z pissoirów publicznych. I trzeci czy czwarty tym chwytem wygrywa wielki los i zdobywa sobie popularność, może nie tyle w narodzie, ile w inteligencji i w metropolji państwa, w wyższych dziesięciu tysiącach. Wszystkie inne „chwyty" już całkowicie zawodzą i jeszcze jakiś czas będą zawodziły, dopóki „jintelegencja" (która już w wielkim procencie jest jidteligencją) tak się już nie oswoi z porkokracją, koprolaljami, i świnoderjami wogóle, że te wszystkie „słówka" i przeboje przestaną czytelników czarować i olśniewać. Jeszcze na jakiś czas trzeba się zdobyć na cierpliwą wyrozumiałość i dla producentów hiperkakuany i dla szerokich warstw jej konsumentów...

Jeszcze to bawi i zachwyca i nasze ministrowe i generałowe i całą rodzinę „wioskową". Czyż można domagać się od takich np. reprezentantów górnej warstwy kierowniczej, jak panowie Byrka, Dziadosz, Starzak i innych Polakiewiczów, (oraz ich środowiska), aby w wolnych chwilach zaczytywali się w takich pisarzach, jak Wasylewski lub Wasilewski, jak Szaniawski lub Iłłakowiczówna? No, oczywiście i najstanowczej nie. Dla tych ludzi odpowiednią lekturą muszą być i powinny: „Pamiętniki" gen. Składkowskiego, tłumaczenia Ludwiga, „Ikac" i „Światowid", powieści Kadena i Marczyńskiego. Dopiero ich progenitura, już z intelektualną strawą w drugiem pokoleniu oswojona, zacznie gustować w literaturze wyższej rangi, dziś odsuniętej na plan drugi i trzeci. Dla starszej Elity wystarczy Pitigrilli; dla następnej generacji dopiero Pirandello. To też nie należy się dziwić, że „Rodzina" sanacyjna i recenzenci książkowi jej prasy z takim głodem duchowym, z taką żarłocznością rzucili się na nowy przebój radosnej twórczości literackiej, na ...spowiedź... dziecięcia wieku z... wspólnego pokoju. „Państwotwórcze" paszkwile tego Papkinda Kadena znudziły nawet całą „wioskową Rodzinę"; już mają dość i jego Termo - piły i jego cierpienia za miljony (literatów) i jego żebraniny o miljon (dla literatów) i jego skomlenia o Akadenję. Jeszcze ich bawi dr. Żeleński, ale już raczej swojemi gynekologicznemi kampanjami i swojem znachorstwem. Zapragnęli jakiegoś nowego narkotyku i dostali „na gwiazdkę" opowieść o życiu i obyczajach... szczurów ze wspólnego pokoju. Tom jest z siłą i z talentem, oczywiście exhibicjonistyczny i prowokacyjny. Raczej dokument niż monument, raczej zoologja niż psychologja, raczej fotografja i reporta. Bądź co bądź atoli pierwsza powieść antykomunistyczna, wykazująca przepastną ohydę bytowania kolektywnego i gromadzkiego, szczurzego w kupie. Nabiera się z tych *„confessions"* dużo respektu dla stajni, dla obory, nawet dla chlewa, nabiera się sympatji dla pigmejów z „Congorilli", gdy się odczytuje ten raport oskarżycielski o powszedniej egzystencji nadchodzącej młodzieży literackiej, „młodego lasu", następców. Trzeba mieć przy lekturze takiego „romansu" chusteczkę mocno skropioną kolońską wodą, werweną, szyprem, rezedą, djabli wiedzą czem jeszcze. Taką chusteczką trzeba od czasu do czasu przecierać czoło. Nadto raz po razu otwierać okna nawet przy mrozie. Wtedy taką książkę przeczytać można, skoro ją przeczytać się musi, bo się przeczytać powinno. Skoro *„tout Varsovie"*, a więc omal *demimonde* warszawski zaczytuje się pokątnie w „Kochanku lady Chatterley" (wydanym oczywiście w Krakowie), no to ci, co się troszczą o przyszłość i o przyszłe pokolenie klerków, powinni się też zapoznać z tą jakże przyziemną, proletarjacką, parjasowską *„Calvaire"*.

Ale w czem Wam recenzory zawinił właściwie młodziutki autor? Widocznie brudną musi być imaginacja u tych, co piją tylko... czystą. Gdyby Los (*Destiny*) dało mu genezę z innej sfery i genealogję i koligacje i dolarówkę i wino (jeżeli już nie Burgunda to Chianti przynajmniej), ale trzy razy na tydzień, toby szybko zapomniał o tej ohydnej kasarni przy ulicy Nowiniarskiej (*sic*) i o kompanji tych zwierzaków dwunogich, z któremi Mojra i Ojra go sprzęgły, i o tych literatach, szelmach, konkurentach, o Kadenie jako „wszy" (pod gronostajowem płaszczem polskiego piśmiennictwa). Niechże się znajdą jacyś Chłapowscy, którzy podadzą rękę debiutantowi, a może nawet z takiego dziecka gminu doczekamy się.. Sienkiewicza, który bez pomocy Modrzejewskiego nie byłby może został... Sienkiewiczem. Byle się ten młody „skandalista" najprędzej z grzęzawiska wydostał, byle się w Europie wykąpał, byle się z cywilizacją poznał, a zachodnią kulturą zachłysnął, to się wyratuje.

Beznadziejność? zgorzkniałość? dezorjentacja? apatja? zgaszenie? uwiąd? A czy już się nie pamięta, czem wionęło od „Próchna" Berenta?

A Tetmajer z przed lat trzydziestu?

A to właśnie jest też próchno, tylko z drzewa ordynarniejszego gatunku, próchno o... oktawę i o warstwę niżej, próchno prymitywów i symplistów, próchno z przedmiejskiej peryferji socjalnej. Dezorjentacja? Taka samiuteńka jak w Huxleya: *„Point counter Point"* tylko że u barb - aryjczyków, u najmłodszych z Arjów, z Nowiniarskiej...

No a te „nieprzyzwoite" słowa i słówka? ten odór, ta hiperkakuana? Moje państwo, moje państwo! Jużeście się chyba mieli czas przyzwyczaić do takiej nowopolszczyzny, do takiej językowej sanacji czy assanizacji. Naród, który się nie zdobył na zbiorowe: nie pozwalam! przestać! milczeć wtedy, kiedy osiem i siedem lat temu zaczęto zapługawiać i zanieczyszczać język Kochanowskiego, i Słowackiego, i Krasińskiego, i Pawęskiego, i Norwida i Świętochowskiego inwazją i profuzją koprolalij i fekalij... niema najmniejszego prawa krzywić nosem, jeżeli jego pisarze zaczynają naśladować styl *„Ubu Le Roir"*. Szlachcic zasię na zagrodzie równy wojewodzie. Tak powiedział sobie *Play boy of Cracov* Żeleński i też ze swej strony wsypał do koronnego skarbca fajdanów duży ładunek ekskrementcji.

I także, też dzięki temu, zyskał wielką popularność u Semilechitów i Lechitów samych również.

Na tych dwóch zapatrzył się p. Uniłowski („Wspólny Pokój"), a nie zapatrzył się p. Rudnicki („Szczury"). Z tej przyczyny tylko p. Uniłowski wygrał los na loterji i jest już tanim kosztem odrazu „sławny". Już „zaistniał" termin: „uniłowszczyzna". Już o nim piszą i o niego polemizują. Wnet będzie monografja. Potem Akadenja...

Taka era! Hiperkakuańska era!

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Urzędowa P. A. T. doniosła w sam dzień Nowego Roku o zamierzonem wydaniu „Faraona" Prusa w przekładzie włoskim. Korespondent dodał, że rozpatrywane są ponadto możliwości „zrealizowania na ekranie powieści Prusa, uważanej obok „Quo Vadis" Sienkiewicza i „Salambo" Flauberta za najwybitniejszą realizację artystyczną w dziedzinie historji Egiptu".

Dosłowuie... „Quo Vadis" i „Salambo" są według P. A. T.-ej „realizacjami artystycznemi w dziedzinie historji Egiptu"! Niezrównana jest erudycja tych żydziaków, informujących społeczeństwo polskie pod powagą oficjalnej agencji..

*

Interesujący obrazek z zakresu „wychowania państwowego" podaje częstochowska „Gazeta Narodowa". Jak i w innych miastach polskich odbyły się w gimnazjach tamtejszych obchody z okazji dwudziestopięciolecia zgonu Stanisława Wyspiańskiego. Jednakże — zaznacza „Gazeta Narodowa":

„Na terenie znanego w naszem mieście Gimnazjum Państw. im. H. Sienkiewicza przygotowywano uroczystość w specjalny sposób.

Po nabożeństwie odbyła się akademja w obecności: wizytatora, nauczycieli, rodziców i uczniów.

W chwili uroczystej, gdy młodzież ma wyrazić swój hołd dla wielkiego ducha, przez usta swego przedstawiciela, padają z pod portretu Wyspiańskiego — piewcy Wielkiej Polski, w gromadę Polaków słowa ucznia - żyda, Grünbauma (!)

Przedstawiciel gimnazjum — żyd wybrany został do takiej roli przez dyr. Płodowskiego...

Oczy szukały sztandaru, symbolu polskości i niezależności, znalazły.., sztandar szkolny chwiał się w rękach, niestety... również żyda.

...A przed rokiem w temże gimnazjum policja wykryła gniazdo komunistów - żydów..."

TREŚĆ:

O rozwój gospodarczy Polski *B. Wasiutyńskiego.* — Dyskusja o Traktacie Ryskim *J. Giertycha.* — Miraże mandżurskie *T. Parnickiego.* — Dwa bieguny współczesności *St. Cywińskiego.* — Na widowni *Z. Wasilewskiego.* — Głosy. — Nauka i literatura („Nowe oblicze Sarbiewskiego“ *Sigmy* i t. d.). — Ze świata sztuki *W. Podoskiego.* — Film *Kandyda.* — Nowe książki. — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA.